

Suzanne Simms

Bengalskie ognie

ROZDZIAŁ PIERWSZY

Śliczna dziewczyna!

Mathis Hazard zwrócił fotografię mężczyźnie siedzącemu po drugiej stronie biurka i powiedział głośno:

- Bardzo ładna.

- Desiree to prawdziwa piękność. Żadnego z nas nie trzeba o tym przekonywać. Jest moją chrzestną córką - odparł z dumą George Huxley, odchylając się na oparcie wygodnego dyrektorskiego fotela obitego skórą. Oparł podbródek na splecionych dłoniach i przyglądał się oprawionej w ramkę fotografii stojącej w rogu biurka. Zdjęcie przedstawiało młodą kobietę w typie Grace Kelly: smukłe nogi, regularne rysy, alabastrowa cera, jasne włosy sięgające ramion... Była naprawdę prześliczna. - Szczerze mówiąc, fotograf pokpił sprawę, w rzeczywistości Desiree jest o wiele ładniejsza - oznajmił Huxley, raz po raz pocierając dłonią gładko wygolony policzek. Po chwili dodał zamyślony: - To dziewczyna z doskonałym rodowodem.

- Gdzie się taka uchowała? - spytał Mathis, starając się zachować powagę.

- To panna z dobrego domu. Pochodzi z Bostonu - wyjaśnił George Huxley. - Chodziła do renomowanych szkół, obraca się w najlepszym towarzystwie, bywa w Paryżu, Florencji, Wenecji i Rzymie. Jak się domyślasz, studiowała odpowiednie kierunki.

- Oczywiście - mruknął Mathis, niepewny, czym wypada się zajmować przedstawicielce bostońskiej socjety.

- No wiesz, historia sztuki, muzykologia, języki obce. Desiree mieszka w dobrej dzielnicy, pracuje w renomowanej instytucji, nosi stroje znanych projektantów, głównie Chanel i Armaniego. - George Huxley, przystojny dżentelmen po sześćdziesiątce, zamilkł na chwilę, westchnął, pokiwał głową i

podsumował: - Do diabła, ta dziewczyna zawsze postępuje jak należy.

- Cóż w tym złego?

- Z tego, co mówią rodzice mojej chrzestnej córki, którzy się do mnie zwrócili, wynika, że mała jak zwykle stanęła na wysokości zadania.

Nie uszło uwagi Mathisa, że Huxley użył czasu przeszłego, a więc trudności narastały zapewne od dłuższego czasu.

- Wciąż nie rozumiem, co was niepokoi.

- Hotel Stratford.

- Ten w Chicago? - spytał Mathis, marszcząc brwi.

- Owszem.

- To jeden z najbardziej znanych budynków w mieście. - Mathis przybył do Chicago przed tygodniem, ale już słyszał o słynnym hotelu.

- Słuszna uwaga. Założył go pradziadek Desiree, pułkownik Jules Stratford. Po opuszczeniu armii wyemigrował do Ameryki, kupił stary hotel, odnowił gruntownie i umieścił na szyldzie swoje nazwisko. Stratford nie był duży, ale odznaczał się wyjątkowym luksusem. Pułkownik Stratford nie żyje od dwudziestu lat. Charlotte, jego druga żona, wdowa po nim, przejęła interes, ale z upływem lat było jej coraz trudniej go prowadzić. Zmarła przed kilkoma miesiącami, a Desiree odziedziczyła hotel z całym dobrodziejstwem inwentarza. Cóż, jest dorosła, może trwonić czas i pieniądze, na co tylko chce, ale jej rodzice obawiają się, że w tym przypadku uczucia wzięły górę nad rozsądkiem. Nie omieszkałem im przypomnieć, że ich córka, prócz urody, ma także głowę nie od parady. Jest absolwentką Harvardu. Ja również tam studiowałem. - Mathis nie krył podziwu, a George Huxley dodał: - Jest kustoszem bostońskiego Muzeum Sztuki. Jej specjalność to konserwacja dokumentów.

Mathis ponownie zerknął na czarno - białą fotografię. Ze zdziwieniem stwierdził, że ta Desiree coś w sobie ma. Na pewno nie jest nudna.

- Krótko mówiąc, moja chrzestna córka poprosiła zwierzchników o dłuższy urlop i przyjechała do Chicago, by przywrócić hotelowi dawną świetność. Cała rodzina jest zdania, że nie ma pojęcia, na co się porywa, i dlatego zwróciłem się o pomoc do agencji detektywistycznej „Jonathan Hazard i spółka”. - Starszy pan zamilkł na chwilę. - Twój kuzyn oddał mi kiedyś wielką przysługę.

- Wiem. To Jonathan wywiózł pana z Bejrutu. Był wtedy tajnym agentem - stwierdził obojętnie Mathis.

- W takim razie skąd dowiedziałeś się o tej akcji? Jonathan się wygadał?

- Przed laty dobrze się orientowałem w tego rodzaju sprawach. - Mathis wzruszył ramionami, a jego rozmówca parsknął śmiechem i uderzył się dłonią w kolano.

- Przed laty? A ile tobie stuknęło? Trzydzieści pięć? Trzydzieści sześć? - Mathis nieznacznie skinął głową. - Wszyscy Hazardowie są tacy sami. - George Huxley był wytrawnym dyplomata, a potem wieloletnim dyrektorem Muzeum Archeologicznego w Chicago, lecz mimo ogromnego doświadczenia nie potrafił rozszyfrować klanu Hazardów. Mathis zdawał sobie sprawę, że, prócz ambasadora, wiele innych osób gubi się, gdy przyjdzie im scharakteryzować licznych braci, rodzonych i przyrodnych, kuzynów, bratanków z mocno rozgałęzionej rodziny. Szczerze mówiąc, prócz zmieszania budzili także obawy.

- Rozumiem, że pańskie słowa to dowód uznania.

- Oczywiście. - Siwowłosa George Huxley pochylił się w jego stronę. - Nie ma człowieka, którego darzyłbym większym zaufaniem i podziwem niż Jonathana Hazarda. Gdybym się znalazł w trudnym położeniu, chciałbym go mieć po swojej

stronie. Lepiej niech pamięta, że dzięki mnie poznał i poślubił Samanthę Wainwright - dodał Huxley z porozumiewawczym uśmiechem. - Domyślam się, że Jonathan jest teraz wzorowym ojcem.

- Wziął kilka miesięcy urlopu, bo chce być przy żonie i dziecku - wyjaśnił z uśmiechem Mathis.

- A gdzie się podziewa Nick?

- Wyjechał z Meliną w podróż poślubną. To ich miodowy miesiąc.

- Co u Simona?

- On właściwie nie pracuje w agencji. Niedawno wrócił z Tajlandii.

- Podobno tam się ożenił.

- Tak, z Sunday Harrington.

George Huxley pochylił się jeszcze niżej, spojrzął na sufit, zabębnił palcami po biurku i powtarzał raz po raz:

- Sunday Harrington? Sunday Harrington? Nazwisko wydaje mi się znajome.

- Sunday była znaną modelką, a teraz odnosi sukcesy jako projektantka mody.

- Rodzina zajmuje się swoimi sprawami, a ty pilnujesz interesu, tak?

- Powiedzmy, że zgodziłem się spędzić kilka miesięcy w Chicago, żeby agencja nie podupadła.

- Co robiłeś przedtem? Byłeś w armii, prawda? Potem służba na granicy, następnie tajne operacje na zlecenie rządu. Po zakończeniu służby zostałeś prywatnym detektywem i ochroniarzem kilku wybitnych osobistości.

Mathis bez słowa kilkakrotnie skinął głową. Uznał, że pora zapytać, o co właściwie chodzi.

- Czego pan ode mnie oczekuje, ambasadorze?

- Chciałbym, żebyś przeprowadził dyskretne śledztwo.

- Chodzi o hotel czy o pańską chrzestną córkę?

- W grę wchodzi obie sprawy - odparł stanowczo Huxley.
- Słyszałem, że nieźle sobie radzisz w interesach, a zarazem jako były agent... - Nagle zamilkł i machnął ręką. - Lepiej o tym nie wspominać. Chciałbym, żebyś sprawdził, czy Desiree na pewno wie, co robi, i czy nie ściąga sobie przypadkiem kłopotów na głowę. - Huxley zawahał się na moment. Mathis był przekonany, że to nie wszystko, bo rozmówca był wyraźnie zakłopotany. - W hotelu doszło do kilku niepokojących incydentów.

- Proszę?

- Chodzi o fakty trudne do wyjaśnienia.

- Na przykład? - wtrącił zachęcająco Mathis.

- Meble się przesuwają, - Huxley nie wiedział, gdzie oczy podziąć.

- Czyżby?

- Same, bez niczyjego udziału - dodał z wyraźnym ociąganiem. - Nocami z różnych pomieszczeń dobiegają zagadkowe dźwięki. Kątem oka można czasami dostrzec zarys ludzkiej sylwetki, choć teoretycznie nikogo nie ma w pobliżu.

- Chce mi pan wmówić, że w hotelu straszy? - Mathis był wyraźnie ubawiony.

- Nie mam takiego zamiaru.

- Czemu?

- Nie wierzę w duchy.

- W takim razie jest nas dwóch.

- A więc słusznie zrobiłem, powierzając ci tę sprawę. To zajęcie dla człowieka obdarzonego zdrowym rozsądkiem. Nie ulegniesz presji mitomanów.

- Czy to już wszystkie rewelacje, jakie chciał mi pan przekazać?

- Skoro pytasz, muszę przyznać, że jest coś jeszcze. Mathis domyślał się, że taka będzie odpowiedź.

- Mam przeczucie, że ktoś z gości albo pracowników macza w tym palce - ciągnął Huxley. - Z tego powodu nikt poza Desiree nie może wiedzieć, kim naprawdę jesteś. W przeciwnym razie nie dojdziemy prawdy. Czeka cię tajna operacja.

- Chce pan, żebym udawał kogoś innego?

- Trafiłeś w sedno.

- Ma pan jakieś propozycje? - Mathis pytająco uniósł brwi.

Ambasador obrzucił badawczym spojrzeniem kosztowny biały kapelusz z opaską nabijaną srebrnymi ozdobami i wyczyszczone do połysku ręcznie robione kowbojki z czarnej skóry.

- Możesz udawać gościa z Teksasu.

- Czego taki facet miałby szukać w hotelu Stratford?

- Coś wymyślimy.

- My dwaj?

- Sądzę, że wspólnie jesteśmy w stanie ułożyć wiarygodną historyjkę.

- Kiedy mam zacząć?

- Dziś.

Mathis bez słowa spojrział w okno, obserwując panoramę Chicago. Musi zdobyć kilka informacji dotyczących hotelu Stratford oraz jego byłych i obecnych właścicieli. Trzeba się przygotować do spotkania z bostońską dziedziczką.

- Jutro - poprawił klienta. - Nim poznam panią Desiree Stratford, chciałbym się najpierw zorientować w sytuacji.

- A więc zaczynasz od jutra - zgodził się Huxley. Gdy kwadrans później zakończyli rozmowę, odprowadził Mathisa do drzwi luksusowego gabinetu i serdecznie uścisnął jego dłoń. - Życzę szczęścia, Hazard.

Mathis miał przeczucie, że będzie mu ono potrzebne.

Tego lata dzięki hojności agencji detektywistycznej „Hazard i spółka” Mathis zajmował luksusowy apartament na czterdziestym drugim piętrze chicagowskiego wieżowca. Trzy ściany były przeszklone i ukazywały wspaniałą panoramę miasta z jeziorem Michigan w tle.

Mathis zamieszkał tu sam. Na dobrą sprawę nigdy nie miał nikogo bliskiego. Wcale mu to nie przeszkadzało. Pociągnął kolejny łyk piwa.

Kobiety? Trudno je zrozumieć. Mathis przyłożył chłodną puszkę piwa do policzka. Raczej wyczuł, niż usłyszał, że nie jest sam. Nie odwracając się, rzucił półgłosem:

- Kumpel, co ty myślisz o kobietach?

- Sporo z nimi kłopotu, a pożytek właściwie żaden.

Jako mężczyzna po przejściach Kumpel wiedział, co mówi. Żenił się i rozwodził trzy razy. A może cztery? Miał także kilka romansów, które nie skończyły się ślubem. Pozostał niebieskim ptakiem i unikał wszelkich zobowiązań.

William Jones zwany Kumplem jako dziewięciolatek zaczął pracować na ranczu Circle H, początkowo w magazynie żywności, a z czasem jako kucharz w rezydencji. Trudno powiedzieć, kiedy z własnej woli podjął się czuwania nad synem pracodawców. Stuknęła mu już siedemdziesiątka, ale nadal uważał, że musi dbać o Mathisa, choć ten już dawno stał się mężczyzną i również swoje w życiu przeszedł. Żadnej kobiecie nie udało się go omotać i przywiązać do siebie na dobre. Jego rozważania na temat małżeństwa były czysto teoretyczne, ponieważ nie miał w tej dziedzinie żadnego doświadczenia.

Kiedyś wydawało mu się, że jest zakochany. Skończył dziewiętnaście lat, a jego wybranką była śliczna, jasnowłosa i szalona osiemnastolatka. Typowy wakacyjny romans: gorący, nagły, gwałtowny, zakończony burzliwym rozstaniem.

- Co myślisz o bostońskich pannach z dobrego domu?

- Takie są najgorsze.

- Czemu? - spytał Mathis, nie odwracając głowy. Usłyszał, jak Kumpel przestępuje z nogi na nogę.

- Przez nie człowiek całkiem się zapomina.

- Co przez to rozumiesz? - Zaciekawiony Mathis odwrócił się wreszcie.

Kumpel uśmiechnął się szeroko; to był jego znak firmowy. Kąciki ust uniosły się wysoko, a w ciemnych oczach błysnęły wesołe iskierki.

- Żebym to ja wiedział! Te baby robią nam wodę z mózgu.

Mathis parsknął śmiechem, wymachując przy tym puszką z piwem, które chlusnęło na jego obnażony tors.

- Trafia mi się jedna taka, wiesz?

- Zawsze był z ciebie okropny podrywacz - oznajmił Kumpel, a po chwili namysłu mruknął cicho, zdradzając szefowi kolejną złotą myśl faceta po przejściach; - Ach, te kobiety! Nie da się z nimi żyć.

- Czyżby?

Kumpel milczał. Mathis w głębi ducha przyznał mu rację. Ponieważ starszek nie miał zwyczaju wypytywać podopiecznego o sprawy zawodowe, oznajmił krótko;

- Rozmawiałem dziś z klientem.

- Tak?

- To George Huxley.

Kumpel wzruszył tylko ramionami, choć, zdaniem Mathisa, wiedział, o kogo chodzi; nie zrobiła na nim wrażenia nowina, iż klientem agencji detektywistycznej Hazardów jest znany amerykański dyplomata.

- Chce, żebym miał oko na jego chrzestną córkę.

- To jest ta bostońska panna z dobrego domu?

- Tak.

- Uważam, że pakujesz się w kłopoty.

Mathis był tego samego zdania.

- Maszę wziąć tę sprawę przez wzgląd na dobrą opinię firmy Hazardów - tłumaczył, sięgając po bawełnianą koszulkę i wycierając nią tors. - Nie mam wyboru.

- Tak sądziłem.

- Dziewczyna jest śliczna - mruknął z westchnieniem Mathis.

Kumpel długo milczał.

- One wszystkie są ładne jak z obrazka. Jeżeli będziesz potrzebował pomocy...

Mathis czekał na te słowa.

- Właśnie chciałem cię prosić o przysługę.

- Mów, o co chodzi, szefie - odparł z powagą Kumpel, świetny kucharz i samozwańczy anioł stróż Mathisa.

- Jutro rano ogolisz się bardzo starannie i włożysz najlepsze ubranie.

Kumpel zerknął na spraną koszulkę i dżinsy, a potem na znoszone buty.

- A do tego najlepsze kowbojki, co?

- I elegancki kapelusz.

- Mówisz o białym stetsonie?

- Oczywiście.

- Ty również włożysz jasny, prawda? - Mathis skinął głową, a Kumpel uniósł brwi. - Chcesz zaimponować tej dziewczynie?

Mathis w milczeniu obserwował swoje odbicie w szklanej tafli. Pokazał w uśmiechu białe zęby.

- Od pierwszej chwili musi być wiadomo, że porządne z nas chłopaki.

- Wystarczy, że powiemy tej... Jak ona się nazywa?

- Stratford, Desiree Stratford.

- Trzeba jej od razu powiedzieć, że trafiła na zacnych gości - stwierdził Kumpel.

Mathis w zamyśleniu potarł dłonią kark.

- A jeśli nam nie uwierzy?

- Zapamiętaj moje słowa. Pakujesz się w kłopoty, mój chłopcze.

Mathis nie miał wyboru, więc tylko pokiwał głową. Kumpel zwrócił ku niemu pokrytą siecią zmarszczek twarz.

- Dokąd wyruszamy?

Dobre pytanie, ale odpowiedź nie była łatwa, bo w zawodzie detektywa obowiązuje dyskrecja, z drugiej strony jednak trzeba przynajmniej w ogólnych zarysach naświetlić sprawę. Jak postąpić, by Kumpel pojął szybko, w czym rzecz?

Mathis wypił łyk piwa z puszk. Sam nie był całkiem pewny, o co chodzi w tej sprawie. Nagle przypomniał sobie tekst starej piosenki:

Do celu wiedzie kilka dróg Raz idziesz prosto, raz kluczysz.

- Będziemy kluczyć, by osiągnąć cel - brzmiała jego odpowiedź.

ROZDZIAŁ DRUGI

Wycie syreny wyrwało Desiree Stratford z głębokiego snu. Przewróciła się na drugi bok, niechętnie uniosła powieki i spojrzała na budzik stojący na szafce. Trzecia w nocy.

- O Boże! - jęknęła cicho, odwróciła głowę i ukryła twarz w poduszce. Nie chciała się budzić. Marzyła jedynie o tym, by ponownie zasnąć.

Miała za sobą długi i męczący dzień wypełniony niezliczonymi spotkaniami. Istny korowód prawników, bankierów, architektów, inżynierów; zjawiała się nawet delegacja stałych mieszkańców hotelu. Co gorsza, na obiad dostała jakieś zimne paskudztwo. Przysięgła sobie w duchu, że wyrzuci na bruk kapryśnego nieuka Andre, szefa kuchni w hotelu Stratford, gdy tylko znajdzie kogoś na jego miejsce. Wieczór spędziła w gabinecie pradziadka na porządkowaniu jego archiwum. Doszła do wniosku, że kochany staruszek przechowywał chyba całą korespondencję otrzymaną w ciągu długiego życia. Położyła się o pierwszej w nocy. Była całkiem wyczerpana, gdy zwinęła się w kłębek pod kołdrą.

Jak na złość obudziła się w środku nocy.

Uznała, że sama jest sobie winna. Przecież uparła się, że osobiście będzie zarządzać nieruchomością i zamieszka w najstarszej części hotelu, w apartamentach należących do pradziadków. Wybrała sypialnię, gdzie nocowała jako mała dziewczynka, gdy trzy razy do roku odwiedzała Chicago.

Wtedy nie miała kłopotów z zasypianiem. Czyżby jako trzydziestoletnia kobieta zaczęła nagle cierpieć na bezsenność? Raz po raz słyszała piskliwe wycie karettek pogotowia, które działało jej na nerwy. W pobliżu hotelu znajdował się szpital miejski.

Nie ma sensu płakać nad rozlanym mlekiem, jak mawiał pradziadek. W każdej sytuacji trzeba dostrzegać dobre strony, co nie będzie łatwe, bo jest późna noc, a o tej porze trudno

zasnąć. Do świtu pozostało niewiele czasu, a sen nie przychodził.

Desiree położyła się na plecach i patrzyła w sufit. W sypialni było kilka okien, a wpadająca przez nie uliczna poświata pozwalała widzieć zarysy malowidła wykonanego na suficie przed dziesiątkami lat. Stworzył je za grosze wybitny artysta, który mimo talentu przymierał głodem.

Z czasem barwy zbladły, a fresk pokryła warstwa brudu i kurzu, ale obraz nieba ze słońcem, księżycem, chmurami, planetami i gwiazdozbiorami nadal robił wrażenie. Plafon stracił barwy, ale wspomnienia pozostały wyraziste.

- Boję się ciemności, dziadziu - wyznała pewnego wieczoru mała Desiree, gdy kładła się do łóżka.

- Nie zapominaj, że nocą wystarczy podnieść głowę, by zobaczyć gwiazdy - tłumaczył pradziadek. Desiree nie przyszło to wcześniej do głowy.

- Ile gwiazd jest na niebie? - spytała z ciekawością i ożywieniem, jak przystało na ośmiolatkę.

- Tysiące, miliony - odparł pradziadek. Siedział w dużym, obitym skórą fotelu stojącym zawsze przy łóżku w pokoju gościnnym.

- Czy zdołam je policzyć?

- Oczywiście. Cokolwiek postanowisz, zawsze dopniesz swego. Zapamiętaj moje słowa, Desiree.

Spojrzała na fresk wymalowany na suficie.

- Ale na niebie jest strasznie dużo gwiazd, dziadziu.

- Nie martw się, dziecinko. Razem je policzymy.

We dwoje rachowali gwiazdy - Desiree półgłosem, a jej pradziadek gromkim barytonem - aż małej powieki zaczęły opadać, choć próbowała szeroko otworzyć oczy. Co noc zasypiała wsłuchana w głos dziadka, marząc o podróżach do miejsc, których nie widziała. Chciała z bliska zobaczyć wszystko, czemu dotąd nie miała okazji się przyjrzeć.

Wystrój pokoju gościnnego przypominał komnatę ze snu. Mimo upływu lat sypialnia zachowała baśniowy urok. Meble były lekkie, ozdobione intarsją, do której użyto egzotycznych gatunków drewna sprowadzonych z Jodhpur w Indiach. Na wielkiej komodzie stały oprawione w ramki zdjęcia majestatycznych słoni z trąbami uniesionymi w górę, rozbawionych małp, barwnych ptaków siedzących na konarach drzew oraz królewskiej kobry gotowej do ataku, podstępnej, groźnej, a zarazem czczonej przez wielu Hindusów jak bóstwo.

Nad kominkiem wisiał duży obraz przedstawiający królewską rodzinę polującą na bengalskiego tygrysa. Na przeciwległej ścianie pysznił się gobelin z jedwabiu, na którym przedstawiono życie maharadży, piękne damy jego dworu, wspaniały pałac i bogactwa przechodzące ludzkie wyobrazenie.

W rodzinnych apartamentach wiele było pamiątek, upominków i darów otrzymanych przez pradziadka w Indiach. Dla Desiree stanowiły zawsze przypomnienie minionej epoki, w której żył - czasów, co odeszły i już nie wrócą. Kochany staruszek chętnie snuł opowieści o latach spędzonych na indyjskim subkontynencie, kiedy to słońce nigdy nie zachodziło nad Imperium Brytyjskim.

W tamtej epoce hotel Stratford był niesłychanie wytworny, ale z czasem podupadł. Gdyby nie zauroczenie egzotyką, Desiree pewnie sama by to zauważyła, bo jako mała dziewczynka bywała tu regularnie.

Miłość do pradziadka i przywiązanie do hotelu Stratford oraz jego historii i tradycji sprawiły, że gdy przyszło wybierać zawód, Desiree postanowiła chronić zabytki przeszłości. Była przekonana, że stanowi ona klucz do rozumienia teraźniejszości, a także pozwala snuć uzasadnione domysły dotyczące przyszłości.

Westchnęła ciężko.

Niestety, przedłożyła sentymenty nad zdrowy rozsądek, co znów ją kosztowało nie przespaną noc - zapewne nie ostatnią. To cena, którą musi zapłacić za decyzję przeprowadzenia gruntownego remontu i odnowienia hotelu od piwnic po dach. Była zdecydowana przywrócić mu dawną świetność, ale podjęła to postanowienie, kierując się raczej sercem niż rozumem.

Desiree energicznie uderzyła pięścią w poduszkę. Miała ich w łóżku z pół tuzina; były różnego kształtu, wszystkie okryte powłóczkami z najcieńszego egipskiego płótna. Rozrzuciła szeroko ramiona i ułożyła się wygodnie na staromodnym metalowym łóżku. Spojrzała na fresk i zaczęła szeptem liczyć gwiazdy.

- Jeden, dwa, trzy... - Po pewnym czasie oblizwała wyschnięte wargi i rachowała dalej. - Dziewięćdziesiąt siedem, dziewięćdziesiąt osiem, dziewięćdziesiąt dziewięć, sto.

Wystarczy. To nie ma sensu.

- Nie warto się oszukiwać - mruknęła i usiadła, wsparta na poduszkach. - Już nie zasnę.

Właśnie miała sięgnąć do przycisku nocnej lampki, gdy wydało jej się, że słyszy jakiś dźwięk. Znieruchomiała i wstrzymała oddech. Nie miała pojęcia, co robić. Zimny dreszcz przebiegł jej po plecach, gdy usłyszała cichy odgłos kroków dobiegający z korytarza. Uświadomiła sobie nagle, że poza nią w rodzinnych apartamentach nie powinno być teraz nikogo.

Po chwili karciała się za głupie domysły. W środku nocy w budynku tak starym jak hotel Stratford mogą rozlegać się rozmaite dziwne odgłosy. Istniało także inne wyjaśnienie: nazbyt bujna wyobraźnia płata niekiedy paskudne figle.

Desiree nie była strachliwa, ale miała świadomość, że jest w odległym skrzydle budynku całkiem sama.

Musiała przyznać, że niepokojące zbiegi okoliczności zdarzały się tu w ciągu ostatnich tygodni zbyt często. Meble tajemniczym sposobem wędrowały z pokoju do pokoju. Każdy z pracowników gotów był przysiąc, że nie ma z tym nic wspólnego, i nie potrafił wytłumaczyć, kto i po co zadawał sobie tyle trudu.

Desiree widywała niekiedy kątem oka zarys ludzkiej sylwetki, ale gdy odwracała głowę w tamtą stronę, korytarz lub pokój był pusty. Ostatnio słyszała także podejrzane odgłosy - wyłącznie nocą, kiedy była sama w apartamencie.

Czyżby ktoś miał wobec niej złe zamiary? Może próbował ją nastraszyć? Zapewne o to chodziło. Była zdegustowana i uznała, że to niesmaczny żart.

Znała, oczywiście, rozmaite historie dotyczące hotelu. Wszystkie stare budynki mają swoje legendy. Podczas pierwszego wieczoru w Chicago nasłuchiwała się dziwnych opowieści o duchach. Stałe mieszkanki zadbały o to, by się wszystkiego dowiedziała.

Panna Molly Mays uraczyła Desiree opowieścią o pewnym grubasie, który dawno temu podczas remontu zasnął w schowku i został żywcem zamurowany. Udusił się i zmarł, nim koledzy spostrzegli jego nieobecność. Daremnie w pośpiechu rozebrali mur.

Panna Maggie Mays z równym entuzjazmem przytoczyła opowieść o nieszczęśliwych kochankach. W czasach prohibicji szaleli w Chicago niczym Bonnie i Clyde, para słynnych przestępców. Zginęli oboje niesławną śmiercią, ponosząc zasłużoną karę, gdy zatrzymała ich policja i zaczęła się strzelanina. Panna Mays twierdziła, że od tamtej pory kochankowie wędrują korytarzami hotelu Stratford, strzelając z widmowej broni.

Bzdury!

Pradziadek mówił w takich sytuacjach, że to zwykłe mydlenie oczu. Desiree nie wierzyła w duchy.

Z korytarza dobiegło ją ciche tupanie.

Nie zapalając światła, odrzuciła lekką kołdrę i spuściła nogi z łóżka. Gdy była małą dziewczynką, nie sięgała stopami podłogi. Teraz usiadła pewnie na brzegu stylowego, angielskiego łóżka i dotknęła nimi chłodnego drewna.

Znów usłyszała odgłos kroków.

- Dość tego - mruknęła półgłosem, sięgnęła po szlafrok i ruszyła ku drzwiom.

Wprawdzie od jej ostatniej wizyty minęło dwadzieścia lat, bo po śmierci pradziadka nie przyjeżdżała do hotelu, ale doskonale pamiętała rozkład gościnnego pokoju i całego apartamentu.

Bezszelestnie przekręciła gałkę, uchyliła drzwi i spojrzała w głąb korytarza. Kinkiety rozmieszczone co trzy metry wydobywały z półmroku kwiecisty wzór tapety i czerwony chodnik.

Desiree ruszyła bosą korytarzem, zaglądając w każdą jego odnogę, ale niczego nie dostrzegła. Nie było tam żywego ducha, co zresztą wcale jej nie zdziwiło. Poszukiwania nie przyniosły żadnych rezultatów. Nie oczekiwała zresztą, że za zakrętem przyłapie na gorącym uczynku sprawcę nocnego zamieszania.

- To bez sensu - oznajmiła głośno, a jej głos rozległ się echem w pustym korytarzu. - Wracam do łóżka.

W tej samej chwili spostrzegła, że drzwi do gabinetu pradziadka są otwarte, choć była pewna, że je zamknęła, gdy późnym wieczorem skończyła pracę.

Nagle ogarnęły ją wątpliwości.

Szybko podjęła decyzję. W tych okolicznościach trzeba zadbać o swoje bezpieczeństwo. Stała na progu i sięgnęła

do stojaka na parasole po jedną ze staromodnych angielskich lasek pradziadka. Mocno ujęła prowizoryczną broń i zapaliła światło w gabinecie. Oślepiąca, zamrugła kilkakrotnie powiekami i poczekała, aż oczy przywykną do blasku.

W pokoju stały ciężkie mahoniowe meble, a pod ścianami oszklone szafy na książki. Ozdobę gabinetu stanowiły dziewiętnastowieczne obrazy, a także pamiątki, które pradziadek Desiree przywiózł z Indii. W kątach zalegał głęboki cień.

Na szczęście nikogo tu nie było.

Desiree przeszła przez gabinet i zajrzała do sąsiadującego z nim salonu. Tam również było zupełnie pusto. Zamknęła za sobą drzwi, odwróciła się i rozejrzała wokoło. Pokój wyglądał tak samo jak przed dwiema godzinami, kiedy stąd wychodziła. Opuściła okutą srebrem laskę, podeszła do mahoniowego biurka i nagle zdała sobie sprawę, że czegoś tu brakuje. Odwróciła się twarzą do ściany, na której wisiał miecz i sztylet, które pradziadek otrzymał po zakończeniu służby wojskowej. Odkąd pamiętała, zawsze były umieszczone na honorowym miejscu.

Sztylet zniknął.

Była niemal pewna, nawet całkiem pewna, że tej nocy wisiał na ścianie.

Kto go zabrał?

Czemu to zrobił?

Gdzie jest teraz cenna pamiątka?

Kątem oka spostrzegła coś niepokojącego. Odwróciła się powoli i zimny dreszcz przebiegł jej po plecach. Miała pustkę w głowie, nie była w stanie się poruszyć ani zaczerpnąć tchu.

Po chwili wzięła się w garść i obeszła biurko, starając się niczego nie dotykać.

Wuj George miał chyba rację, proponując, żeby wynajęła prywatnego detektywa, który zbada sprawę i wyjaśni, co się

dzieje w hotelu Stratford. Wprawdzie sprzeciwiła się temu, gdy zadzwonił po południu, aby jej powiedzieć, że już rozmawiał z pewnym strzelcem wyborowym, jak się wyraził. Strasznie się awanturowała. Przytoczyła dziesiątki argumentów, starając się udowodnić, że nie potrzebuje w hotelu dodatkowej ochrony.

Teraz westchnęła z ulgą na myśl, że uparty George Huxley postanowił zrealizować swój plan. Trochę się uspokoiła, bo prywatny detektyw miał się u niej zjawić wcześniej rano.

Desiree Stratford miała powody do niepokoju. Na biurku leżał kawałek grubego papieru listowego o kremowym zabarwieniu; drukowanymi literami napisane było na nim tylko jedno słowo: OSTRZEŻENIE. Ktoś wbił w tę kartkę sztylet pradziadka.

ROZDZIAŁ TRZECI

Kierownik hotelu Rashid Modi przystanął w drzwiach gabinetu i chrząknął dyskretnie.

- Tysiącrotnie przepraszam za wtargnięcie.

Desiree podniosła wzrok znad sprawozdania finansowego, które dostarczył niedawno księgowy. Bilans nie wypadł najlepiej.

- O co chodzi, panie Modi?

- Ktoś chce się z panią widzieć - odparł, prostując się z godnością.

- Któż to taki? - wypytywała Rashida, który okazał się bardzo pomocnym pracownikiem. Odkąd zimą umarła Charlotte, prababcia Desiree, sam zarządzał hotelem oraz kierował nielicznym personelem,

- Nie podał nazwiska - odparł Rashid Modi. - Twierdzi, że pani wie, o kogo chodzi.

Desiree spojrzała na stary zegar z wahadłem i kolumnkami stojący w szafie bibliotecznej naprzeciwko biurka. Była ósma. Zapewne tajemniczy gość to prywatny detektyw, którego wynajął George Huxley. Umówili się, że Desiree nikomu nie wspomni, że wezwała na pomoc specjalistę, a jego zadanie dla wszystkich poza nią pozostanie tajemnicą. Doceniła punktualność swego gościa - o ile rzeczywiście był nim ten człowiek, którego spodziewała się dziś rano.

- Jest pani bardzo zajęta - powiedział z wahaniem Rashid Modi. - Czy życzy sobie pani, żebym go odprawił?

Desiree złożyła luźne kartki w równy stos i wsunęła je do szarej koperty, w której sprawozdanie zostało dostarczone.

- Dzięki za troskę, ale to nie będzie konieczne, panie Modi - odparła, wkładając kopertę do teczki. - Przyjmę interesanta.

- Jak pani sobie życzy... - Kierownik zawahał się na moment.

- Coś jeszcze? - spytała Desiree.

Rashid Modi był uosobieniem dyskrecji. Ubierał się nienagannie, mówił z wyszukaną uprzejmością, nie miał sobie równych w swoim fachu, budził także powszechną życzliwość. Desiree była pewna, że zajdzie wysoko i bardzo się dziwiła, czemu wybrał hotel Stratford, który od dawna nie należał do chicagowskiej czołówki. Rashid miał wszelkie dane, by zyskać znacznie wyższą pozycję. W renomowanych hotelach dostałby o wiele lepszą pensję niż u Charlotte Stratford, która go zatrudniła, a także u Desiree, jej spadkobierczyni.

Rashid Modi odchrząknął znacząco.

- Ten osobnik nie wygląda na poważnego interesanta - stwierdził z ociąganiem, jakby nie chciał powiedzieć zbyt wiele. Desiree była zaciekawiona.

- Jak by go pan określił?

- To kowboj - odparł Rashid, strzepując z marynarki niewidoczny pyłek.

- Słucham?

Wuj George - Desiree od lat zwracała się w ten sposób do George'a Huxleya, który od czasów studenckich był najbliższym przyjacielem jej ojca - ani słowem nie wspomniał, że jego protegowany ma powierzchowność i maniery teksańskiego pastucha. Trzeba się dowiedzieć czegoś więcej.

- Co pana skłoniło, by go tak określić?

Rashid Modi wyrażał się jasno i zwięźle.

- Kowbojki i charakterystyczne kapelusze.

Czemu użył liczby mnogiej?

- Domyślam się, że widział pan co najmniej dwa kowbojskie kapelusze. - Rashid bez słowa skinął głową.

Brak snu w końcu dał o sobie znać. Desiree złapała się na tym, że z powagą analizuje ów problem. Czy jeden mężczyzna może nosić dwa nakrycia głowy? A może to dwugłowy gość? Wyobraziła sobie scenę, której nie powstydziliby się Salvador Dali, najbardziej ekstrawagancki z surrealistów. Dość tego! Wystarczy przecież zadać odpowiednie pytanie i wszystko się wyjaśni.

- O co panu właściwie chodzi? - spytała głośno. Jej pracownik sprawiał wrażenie zdziwionego.

- Proszę?

- Mam na myśli kapelusze - odparła zniecierpliwiona.

- Odwiedzili nas dwaj kowboje - wyjaśnił Rashid.

- Ach, tak!

Podczas wczorajszej rozmowy telefonicznej George Huxley, jej ojciec chrzestny, powiedział jasno i wyraźnie, że wynajął prywatnego detektywa nazwiskiem Mathis Hazard, którego firma cieszyła się podobno dobrą sławą. Desiree miała pewność, że nie było mowy o kowboju ani jego pomocniku.

Rashid Modi pokiwał głową i cmoknął głośno, jakby chciał wyrazić swoje niezadowolenie.

- Poradziłem tym panom, żeby obeszli hotel, skierowali się do tylnego wyjścia i porozmawiali z Andre. Zapewne chodzi o dostawy wołowiny z ich rancza. - Dystyngowany pracownik hotelu zamilkł na moment, a potem dodał z pogardliwą miną: - Niestety, ci ludzie są bardzo uparci; szczególnie jeden z nich.

- Proszę?

- Ten facet jest niebezpieczny.

Nie ulegało wątpliwości, że ten Mathis Hazard budzi respekt. Rashid Modi nie należał do osób, które łatwo przestraszyć lub wprowadzić w podziw. W słowach także był zwykle bardzo powściągliwy, więc jego uwaga warta była rozważenia.

Desiree miała nadzieję, że nie dojdzie do przykrej wymiany zdań między prywatnym detektywem z Dzikiego Zachodu a Rashidem Modi, który był wprawdzie Hindusem, ale wzorował się na brytyjskich dżentelmenach, bo wychował się i kształcił w Londynie.

Desiree unikała teraz jak ognia nowych trudności. I tak miała mnóstwo kłopotów, przyjmując niezliczonych prawników, finansistów, przedsiębiorców budowlanych i architektów, którzy nieustannie zawracali jej głowę. Na domiar złego musiała znosić humory szefa kuchni Andre i wdzięczyć się do trzech stałych mieszkanek hotelu, które zachowywały się tak, jakby to one były jego właścicielkami.

Wspomniane trudności każdą rozsądną kobietę doprowadziłyby do szaleństwa. I na dodatek tajemniczy incydent, który miał miejsce wczorajszej nocy! Desiree uznała, że Mathis Hazard na pewno będzie chciał zbadać ślady i dlatego zostawiła sztylet pradziadka tam, gdzie go znalazła. Wciąż miała przed oczyma wysadzaną klejnotami rękojeść lśniąca w blasku lampy i ostrze wbite głęboko w blat mahoniowego biurka.

Przetarła dłonią oczy. Gdy znalazła sztylet i kartkę z ostrzeżeniem, przeszukała starannie dawne mieszkanie pradziadków. Daremnie; tajemniczy gość najwyraźniej rozpułynał się w powietrzu.

Desiree była niemal pewna, że sprawca nie wróci tej nocy na miejsce przestępstwa, więc poszła do swojej sypialni i położyła się spać. Drzwi zastawiła krzesłem, blokując gałkę z brązu. Nie mogła ich zamknąć na klucz, ponieważ w rodzinnych apartamentach nie było zamków. Mimo tych środków ostrożności dopiero o świcie udało jej się ponownie zasnąć.

Ocknęła się z zadumy, gdy Rashid Modi ponowił swoją propozycję.

- Jeśli pani sobie życzy, odprawię tych prostaków, skoro brak pani czasu na niepotrzebną rozmowę.

- Chyba mogę im poświęcić kilka minut - odparła.

- Mam ich tu przyprowadzić? - zapytał Rashid, gestem pokazując wewnątrz eleganckiego gabinetu, który najlepsze czasy miał jednak za sobą. Desiree z uprzejmym uśmiechem pokręciła głową i spytała:

- Gdzie są ci dwaj kowboje?

- W holu - odparł krótko Rashid.

- Zaraz tam zejdę. - Desiree odsunęła fotel, sięgnęła po nienagannie skrojony żakiet i wstała.

Ruszyła ku drzwiom, stukając obcasami po marmurowej posadzce. Po drodze włożyła żakiet i pomaszerowała w głąb korytarza. Nim weszła do holu, przystanąła na chwilę, wyprostowała się i zerknęła na bogato zdobiony sufit. Był tam fresk namalowany przez tego samego artystę, który upiększył pokój gościnny. W korytarzu przedstawił skrzydlate istoty z legend i mitów; były tam sześćskrzydłe serafiny, pyzate cherubiny, egzotyczne ptaki o ludzkich twarzach i śnieżnobiały skrzydlaty rumak.

Najważniejszym elementem wystroju wnętrza w holu był kryształowy żyrandol z austriackiego szkła, ważący ponad tonę i wykonany na przełomie wieków, gdy oświetlenie było jeszcze gazowe. Z czasem przerobiony został na elektryczny. Podobno miał aż dwa tysiące żarówek.

W czasach świetności hotelu specjalny pracownik czyścił żyrandole i kinkiety oraz zmieniał przepalone żarówki. Jego pieczy zostało również powierzone kryształowe cudo z holu. Inna osoba zajmowała się przez cały dzień polerowaniem balustrad z brązu umieszczonych wzdłuż schodów. Był także służący, który nastawiał i odkurzał zegary; było ich dziewięćdziesiąt siedem.

Teraz wszystko się zmieniło. Większość zegarów dawno zniknęła, a sprzątaniam zajmowali się pracownicy małej firmy, która ze względu na niską cenę usług wygrała przetarg ogłoszony przez Charlotte Stratford.

Hotel wprawdzie podupadł, ale niezliczone opowieści o jego historii, architekturze, dobrej opinii wśród ludzi z towarzystwa, o sławnych gościach i mniej znanych, lecz równie interesujących pracownikach zafascynowały Desiree jeszcze w dzieciństwie. Nadal była pod urokiem tych historii.

Zajrzała ukradkiem do holu. Poranni goście czekali przy recepcji. Rashid miał rację; obaj wyglądali na kowbojów.

Desiree spostrzegła najpierw białe kapelusze. Na szczęście zdjęli je z głów i trzymali w rękach. Wysnuła z tego wniosek, że wiedzą to i owo na temat dobrych manier.

Różnice między dwoma przybyszami od razu rzucały się w oczy. Jeden był niski, drugi bardzo wysoki. Ten pierwszy miał lekką nadwagę i spoglądał w stronę Desiree. Jego twarz była ponura, a opaloną na ciemny brąz skórę pokrywały setki zmarszczek. Nie ulegało wątpliwości, że całymi dniami przebywa pod gołym niebem, walcząc z żywiołami. Desiree uznała, że jest o trzydzieści, a może nawet czterdzieści lat starszy od swego towarzysza. Sprawiał także wrażenie bardziej ruchliwego.

Drugiego z gości Desiree widziała z profilu. Miał chyba trzydzieści lat, może był nieco młodszy lub trochę starszy. Po namyśle przyjęła tę drugą ewentualność.

Zmierzyła go spojrzeniem od stóp do głów. Miał na sobie kowbojki, spłowiałe dzinsy, skórzaną kurtkę typową dla mieszkańców zachodnich stanów i elegancką białą koszulę. Zamiast krawata nosił sznurówkę przewleczoną przez niewielki złoty medalion. Jego towarzysz był ubrany bardzo podobnie.

Desiree była pod wrażeniem tego spotkania, ale to nie strój mężczyzny tak na nią podziałał. Obojętnie patrzyła na wyczyszczone do połysku kowbojskie buty i staromodny biały kapelusz. Jej uwagę przyciągnęły cechy, które nie od razu rzuciły się w oczy. Spostrzegła, że mężczyzna stoi nieruchomo i spokojnie przygląda się drzwiom wyjściowym, stanowisku recepcjonisty i schodom.

Desiree była świadoma, że gość czuje na sobie jej badawcze spojrzenia. Dziwny dreszcz przebiegł jej po plecach. Kilkakrotnie odetchnęła głęboko, by nabrać odwagi. Teraz rozumiała, czemu Rashid Modi był zaniepokojony wizytą gości z Teksasu. Wyższy z kowbojów naprawdę budził respekt, a nawet obawy. To niebezpieczny człowiek.

Desiree od razu nabrała pewności, że ten mężczyzna gotów jest sam stawić czoło wszelkim trudnościom. Z pewnością doskonale wiedział, kto jest mu wrogiem, a kto przyjacielem. Zastanawiała się, jakie kraje odwiedził Mathis Hazard. Od wuja dowiedziała się, że sporo podróżował. Ciekawe, co nim kierowało.

Stanowił zagrożenie także z innego powodu. Desiree od razu zdała sobie z tego sprawy. Szerokie ramiona, wspaniała muskulatura, wąskie biodra i długie nogi przyciągały wzrok. Mógł zauroczyć każdą kobietę.

Nawet Desiree nie była odporna na urok Mathisa Hazarda, choć do tej pory nie gustowała w tego typu mężczyznach. Woląла subtelnych intelektualistów obdarzonych poczuciem humoru, którzy chętnie dotrzymywali jej towarzystwa na koncertach i spektaklach teatralnych, na wernisażach i balach charytatywnych. Mimo to z zainteresowaniem spoglądała na gęstą czuprynę Mathisa Hazarda. Był ciemnym szatynem. Włosy lekko wijące się na karku wymagały już strzyżenia; niesforne kosmyki wsunął za uszy.

Widziała go tylko z profilu, ale od razu spostrzegła wysokie czoło i ciemne, łukowate brwi, a także kształtny nos z niewielkim zgrubieniem pośrodku, które świadczyło o dawnym złamaniu. Usta były wąskie, dolna warga nieco wydatniejsza od górnej. Kwadratowy podbródek świadczył o nieustępliwości i zdecydowaniu. Uszy były małe i mocno przylegały do głowy, a duże, silne dłonie sprawiały jednak wrażenie delikatnych.

Mathis Hazard nieznacznym ruchem odwrócił głowę. Desiree popatrzyła w jego ogromne, ciemne, mądre oczy. Znała wielu mężczyzn; byli wśród nich kapryśni artyści, wpływowi kolekcjonerzy, bezdomni włóczący się po ulicach Bostonu, zamożni filantropi, ludzie interesu, pretendenci do najwyższych stanowisk w rządzie i niekwestionowani potomkowie rodzin panujących. Spotykała ludzi pewnych siebie i ufnych we własne siły, posiadających ogromną władzę i znakomite koneksje, obdarzonych wewnętrzną mocą i wybitną inteligencją.

Od razu wyczuła, że znów trafiła na kogoś takiego. Ogarnęła ją nieodparta pokusa, by odwrócić się na pięcie i uciec gdzie pieprz rośnie.

Desiree Marie Stratford, ponosi ciężkie wyobrażenia, skarciła się w duchu. Nie była przecież słabą kobietką, która mdleje, zdana na łaskę i niełaskę aroganckiego wybawcy. Zrobiła zawodową karierę, miała pieniądze i mieszkanie, wiodła ciekawe życie.

Od niedawna była także właścicielką hotelu.

Wyprostowała się, chociaż postawę zawsze miała nieskazitelną, głównie dzięki matce, która powtarzała raz po raz:

- Nie garb się, kochanie. Wzrost jest twoim atutem. Wyprostuj się, ramiona do tyłu, wciągnij brzuch, unieś głowę. Wysoka dziewczyna powinna spoglądać na innych z góry.

Desiree raz jeszcze odetchnęła głęboko, wyprostowała się jeszcze bardziej i rozluźniła napięte mięśnie.

Co wuj George mówił o tym Mathisie Hazardzie? Aha, nikt nie powinien wiedzieć, że jest prywatnym detektywem, bo zamierza pracować incognito. Właśnie, będzie udawać, że on należy do rodziny. Trzeba powiedzieć, że to kuzyn, potomek tej gałęzi rodu Stratfordów, która osiadła na zachodzie. Takie wyjaśnienie sprawi ponadto, że gość przestanie szokować strojem.

W tych okolicznościach nie mogła podejść i powitać Mathisa Hazarda zdawkową formułką. Musi udawać, że go zna.

Miała nadzieję, że ich spotkanie będzie miało miejsce na osobności. Niestety, srodze się zawiodła. Jako pierwsze natknęły się na niego trzy stałe mieszkanki hotelu: panna Molly Mays, jej siostra bliźniaczka Maggie oraz panna Cherry Pye, dawniej tancerka egzotyczna, która chętnie dodawała, że była także striptizerką. Trzy wiekowe damy nie szczędziły kowbojom uprzejmości. Cherry Pye, dawniej Cherline Pyle, osoba nieco posunięta w latach, ale wciąż bardzo zgrabna jak na kobietę co najmniej sześćdziesięcioletnią, a może i starszą, przyszła na świat i wychowała się na przedmieściach Chicago, czego się nie wstydziła, a nawet była z tego dumna.

Chciała zostać baletnicą, ale zabrakło pieniędzy na opłacenie lekcji tańca. Poza tym w szesnastym roku życia tak wyrosła, że nie nadawała się do klasycznego baletu. Wkrótce przybrała pseudonim Cherry Pye i zaczęła pracować jako striptizerka w podrzędnej knajpce, a z czasem zyskała spore uznanie i paru wielbicieli.

- Dzień dobry, miłe panie - zawołała pogodnie Desiree, witając trzy starsze niewiasty.

- Dzień dobry, panno Stratford - odparły zgodnie.

Starszy z mężczyzn ruszył w stronę Desiree, ściskając w rękach kapelusz. Uprzejmie skłonił głowę i powiedział:

- Jakie miłe spotkanie!

- Ja również bardzo się cieszę - odparła przyjaźnie.

- Kumpel nie mógł się doczekać, kiedy cię zobaczy - wtrącił Mathis Hazard. Desiree uśmiechnęła się promiennie.

- Jak to dobrze, że przyjechałeś.

Starsze panie chichotały cicho i szeptały między sobą. Przypominały wróble siedzące na gałęzi. Mathis Hazard patrzył na Desiree z uśmiechem, który rozświetlił jego twarz i oczy. Błysnęły nieskazitelnie białe zęby. Wyglądał zachwycająco. Za taką urodę mężczyzn powinno się zamykać do więzienia, bo stanowią zagrożenie dla swego otoczenia.

- Kochanie - westchnął Mathis Hazard z charakterystycznym zachodnim akcentem.

Ujął dłonie Desiree, a potem delikatnie, lecz stanowczo przyciągnął ją do siebie.

Czemu przemawiał do niej tak czule?

Powinna była przewidzieć, że to oznacza poważne kłopoty, ale zbyt późno się zorientowała, na co się zanoszą. Taki przystojniak zdolny jest do wszystkiego!

Hazard niespodziewanie wyciągnął rękę, uniósł twarz Desiree i cmoknął ją w usta. To był zwykły całus, któremu daleko było do namiętnego pocałunku, ale dzięki niemu sporo się dowiedziała o Mathisie.

Wargi miał ciepłe, a skórę gładką. Używał kosztownej wody po goleniu o subtelnym zapachu, który kojarzył się z wonią ogniska na polanie. Silne dłonie o długich palcach były mocne, a zarazem delikatne. Górował nad nią wzrostem. Ledwie sięgała głową do jego podbródka. A smak jego ust? Po prostu cudowny!

- Czy w ten sposób mężczyzna wita teraz upragnioną kobietę? - pisnęła Cherry Pye, która najwyraźniej uważała się za eksperta w tej dziedzinie

- Proszę? - mruknęła niepewnie Desiree, zerkając na trzy starsze panie, które przyglądały się scenie z ogromnym zainteresowaniem. Popatrzyła na stojącego przed nią mężczyznę.

- Mathis, o czym naopowiadałeś tym paniom?

- Wyznałem im całą prawdę, najdroższa - odparł niewinnie.

Najdroższa? O co mu chodzi? Desiree wzięła się w garść i mówiła spokojnie, ale zdawała sobie sprawę, że odruchowo mruży oczy ze złości.

- Kochanie, nie ma sensu udawać, że nic nas nie łączy - ciągnął Mathis Hazard. - Dlatego powiedziałem wszystko tym miłym paniom.

- Doskonale rozumiemy sytuację. Pan Hazard wyznał nam, jak sprawy stoją - wtrąciła jedna z panien Mays. Desiree odwróciła się w ich stronę. Nie potrafiła odróżnić bliźniaczek. Obie miały siwe włosy, różowe policzki, lekką nadwagę oraz identyczne stroje. Były po osiemdziesiątce, ale nikt nie wiedział, przed ilu laty przypadła okrągła rocznica urodzin. Tak czy inaczej, łatwo je było pomylić.

- Jestem Mathis. Proszę mi mówić po imieniu, panno Molly - usłyszała dobiegający z tyłu głęboki baryton.

- Jak to możliwe?

- Mathis wszystko nam wyjaśnił - tłumaczyła panna Mays. Była to zapewne Maggie.

- A konkretnie? - dopytywała się Desiree, próbując zapanować nad rosnącą irytacją.

- Wiemy, co was łączy.

- To jasne. Więzy rodzinne - odparła niepewnie. Bliźniaczki zaczęły chichotać.

- Tak to można określić - wtrąciła Cherry Pye. - Mąż i żona tworzą wszak rodzinę.

Desiree zakrztusiła się; nie była w stanie wypowiedzieć ani słowa. Odwróciła się i spojrzała w ciemne oczy Mathisa Hazarda.

- Powiedziałeś im, że jestem twoją żoną?

Na urodziwej twarzy nie dostrzegła skruchy ani poczucia winy.

- Właściwie byłą żoną - poprawił się i natychmiast dodał:

- Ale to nic pewnego.

- Czemu? - spytała, nieco podnosząc głos.

- Jesteśmy w separacji.

- Ach, tak!

Kłamie jak z nut, pomyślała z wściekłością.

- Nie zdecydowaliśmy się na rozwód.

- Czyżby?

- Nadal są duże szanse na uratowanie naszego małżeństwa.

Ten drań miał czelność się uśmiechać!

- To bardzo interesujące. - Desiree chętnie powiedziałaaby Mathisowi, że jego optymizm jest bezpodstawny.

- Wszystkie trzymamy za was kciuki, panno Stratford - zapewniła Molly, klepiąc ją przyjaźnie po ramieniu i natychmiast się zreflektowała. - Powinnam raczej powiedzieć: pani Hazard!

ROZDZIAŁ CZWARTY

Takie kobiety działały Mathisowi na nerwy. Desiree Stratford idealnie pasowała do opisu George'a Huxleya. Była wyjątkowo piękna, ubierała się u najlepszych krawców i zawsze wyglądała jak należy. Stanowiła uosobienie dobrego smaku, co świadczyło o gruntownym wykształceniu i znakomitym wychowaniu.

Fotograf rzeczywiście nie stanął na wysokości zadania. Dopiero teraz Mathis spostrzegł, że Desiree ma alabastrową cerę, delikatną i gładką jak aksamit. Długie nogi były wyjątkowo zgrabne; nie widział dotąd piękniejszych. Jej figura była nienaganna, waga idealna, urocze krągłości we właściwych miejscach. Mathis westchnął ciężko. Na Desiree Stratford przyjemnie było popatrzeć, ale nadeszły takie czasy, że lepiej to robić ukradkiem, bo można nieźle oberwać. Szkoda, że nie wolno teraz gapić się otwarcie na ładną dziewczynę.

Mimo tych atutów była irytująca. Zapewne ani jeden kosmyk nie wymknął się nigdy ze skromnego koka, piękne kostiumy się nie gnioły, a ich właścicielka zawsze mówiła rzeczowo i spokojnie, nie podnosząc głosu. Panowała nad sobą i potrafiła wybrnąć z każdej trudnej sytuacji. Wiedziała, jakich użyć sztuczków, choćby obok talerza umieszczono ich kilkanaście. Umiała poradzić sobie z egzotycznymi potrawami, które serwowano podczas wytwornych kolacji, i wiedziała, że przy stole arcybiskupa należy posadzić po prawej stronie, tuż obok pani domu.

Desiree Stratford była ideałem, ale brakowało jej odrobiny człowieczeństwa. Mathis odczuwał pokusę, by ją znów pocałować - nie na pokaz, tylko na dowód, że jest istotą ludzką, kobietą z krwi i kości, ukrywającą swoje uczucia i namiętności głębiej niż inni. Nie mógł jednak ulec temu

pragnieniu, bo przyjął korzystne zlecenie i musiał dbać o dobre imię swojej agencji.

Z drugiej strony Desiree Stratford była wprawdzie cenioną klientką, ale to Mathis znał się na rzeczy i podejmował decyzje. Nie śmiał jednak przeciągać struny. Gdyby uległ pokusie, w najgorszym razie zostałby zdemaskowany, a jego kamuflaż diabli by wzięli. Trzeba jak najszybciej zabrać stąd pannę Stratford i opuścić trzy ciekawskie rezydentki, które śledziły wzrokiem każdy ich gest.

- Panie wybaczą - zacznij uprzejmie. - To chyba jasne, że Desiree i ja pragniemy spokojnie porozmawiać na osobności.

Panna Cherry Pye, która miała na sobie szkarłatną kreację w duże kropki i chusteczkę z tego samego materiału starannie zawiązaną na ufarbowanych henną włosach, zachichotała radośnie.

- Tak się to dziś nazywa? - zapytała z figlarną minką.

Mathis uśmiechnął się szeroko.

- Na razie panie żegnamy. Chyba nie macie nic przeciwko temu.

- Skądże! - stwierdziły zgodnie panny Mays, z ciekawości mrugając powiekami.

- Kochanie - dodał Mathis, biorąc Desiree pod rękę i prowadząc ją do windy. - Musimy pogadać w cztery oczy.

- Słuszna uwaga - odparła chłodno, jakby ta sytuacja w ogóle jej nie bawiła. Zapewne brak tej kobiecie poczucia humoru i dlatego każde wydarzenie traktuje bardzo serio, uznał Mathis.

- Dokąd oni idą, siostrzyczko? - spytała teatralnym szeptem panna Maggie Mays.

Słyszeli ją wszyscy zgromadzeni w holu.

- Nie mam pojęcia, kochanie - odpowiedziała podobnym tonem Molly.

- Co będą robili? - Maggie drżącą ręką poprawiła okulary w drucianej oprawie.

Podeszły wiek trochę dawał się we znaki dziarskim staruszkom.

- Chyba zamierzają porozmawiać.

Gdy Mathis ruszył w stronę windy, rozległ się stłumiony chichot panny Pye.

- Dojdą do porozumienia - tłumaczyła - ale nie sądzę, żeby dużo rozmawiali.

- Co pani ma na myśli? - dopytywały się zaciekawione bliźniaczki.

Cherry Pye wybuchnęła śmiechem.

- Moim zdaniem jesteście za młode, by słuchać o takich sprawach - odparła wyniośle.

Panny Mays rozpromieniły się natychmiast.

- Ładnie to pani ujęła! Dzięki za wyjaśnienia.

Mathis zerknął przez ramię i zorientował się, że obiektem zainteresowania jest teraz Kumpel, jego stary przyjaciel.

- Można spytać o zawód? - zagadnęła panna Cherry Pye.

- Jestem kucharzem - odparł.

- To cudownie! - Podeszła nieco bliżej. - Dobrze pan gotuje?

- Moje przepisy są publikowane w renomowanych czasopismach - odparł Kumpel ze skromną miną. Panna Pye rozpromieniła się natychmiast. Mathis gotów był iść o zakład, że oblizwała się ukradkiem.

- Trzeba panu wiedzieć, że szef kuchni hotelu Stratford to hańba dla tego zawodu. Dawno powinniśmy wyrzucić Andre na bruk, ale nie stać nas obecnie na lepszego kucharza. - Cherry Pye wzięła Kumpla pod rękę. Miała rude włosy i czerwoną sukienkę, co w jej przypadku nie raziło.

- Co udaje się panu najlepiej?

- Słodkości - odparł Kumpel, uśmiechając się znacząco.

Cherry Pye zachichotała.

Nim Mathis podszedł do windy, trzy stare panny - rezydentki hotelu Stratford - zaczęły się wdzięczyć do Kumpla, co najwyraźniej sprawiało mu ogromną przyjemność. Mathis odetchnął z ulgą, bo czuł, że sytuacja wymyka się spod kontroli. Trzeba jak najszybciej rozmówić się z Desiree Stratford. Drzwi windy natychmiast się otworzyły. Weszli do środka. Bez słowa uniósł brwi, jakby chciał spytać, dokąd mają jechać.

- Czwarte piętro - powiedziała Desiree.

Nacisnął odpowiedni guzik i natychmiast puścił jej ramię. Sprawiała wrażenie zniecierpliwionej, jakby raz po raz gryzła się w język, nie chcąc zbyt wcześnie ujawniać wszystkich pretensji. Policzki miała zarumienione i trzymała się bardzo prosto. Obrzuciła go chłodnym spojrzeniem. Jasno i wyraźnie dała mu do zrozumienia, że panuje nad sobą, ale jest wściekła jak diabli.

Tego się właśnie obawiał, gdy George Huxley wymyślił historyjkę, która miała stanowić doskonały kamuflaż, a zarazem umożliwić dyskretną ochronę jego chrzestnej córki. Mathis ostrzegał ambasadora, że Desiree nie będzie tym pomysłem zachwycona i na pewno się zirytuje, ale w odpowiedzi usłyszał tylko, że odrobina emocji jej nie zaszkodzi, a nagły przypływ adrenaliny zachęci ją do działania oraz do współpracy przy rozwikłaniu zagadki. Byle tylko nic jej się nie stało!

- Czy to było konieczne? - Głos Desiree wyrwał go z zamyślenia.

- Tak.

- Czemu?

Wyjaśnienie powinno być proste. Fakty bronią się same.

- George uznał, że dzięki temu pani i ja będziemy mogli często się kontaktować, nie szukając dodatkowego pretekstu i nie wzbudzając podejrzeń.

- Nie miałam na myśli tej żalostnej historyjki o naszym małżeństwie - odparła Desiree Stratford pogardliwie, jak przystało na pannę z bostońskich wyższych sfer.

- A o co pani chodziło? - spytał zdziwiony.

- O ten pocałunek.

- Ach, tak!

- Właśnie. - Desiree Stratford dokonała rzeczy z pozoru niemożliwej: spojrzała na niego z góry, chociaż był znacznie od niej wyższy.

Mathis w ostatniej chwili wpadł na pomysł, by ją pocałować. Tego nie było w jego planach. Nie miał pojęcia, co mu strzeliło do głowy. Działał pod wpływem impulsu, a to mu się rzadko zdarzało. W innych okolicznościach improwizacja mogła spowodować tragiczne następstwa, ze śmiercią włącznie. W tym przypadku mógł zostać spoliczkowany.

- Nagły przyływ natchnienia - wyjaśnił. Desiree Stratford zerknęła na jego kowbojskie buty.

- Tak właśnie sądziłam.

- Panie były zachwycone.

- Nie podzielałam ich odczuć.

- Postawmy sprawę jasno. - Mathis rozpiął marynarkę i wsunął dłoń do kieszeni dzinsów. - Wynajęto mnie, żebym przeprowadził dyskretne śledztwo. W swojej branży nie mam sobie równych. Przyznaję, że to zlecenie różni się nieco od dotychczasowych i dlatego stosuję dodatkowe środki ostrożności.

- Mógłby je pan wymienić?

- To nie jest konieczne. Przybyłem tu, by panią chronić. Mam dobrą rekomendację.

- Nie prosiłam nikogo o pomoc - wtrąciła Desiree, spoglądając na niego z ukosa.

- Wiem. Zrobił to za panią George Huxley.

- Potrafię zadbać o swoje bezpieczeństwo - odparła lodowatym tonem.

Mathis pomyślał, że ta dziewczyna ma rację; wystarczy jedno spojrzenie, by zamieniła napastnika w bryłę lodu.

- Może tak, może nie - mruknął. - Niech każde z nas pozostanie przy swoim zdaniu. - Zakłopotany potarł dłonią kark. Włosy miał trochę za długie. Powinienem znaleźć trochę czasu i ostrzyc się przez wyjazdem do Chicago, pomyślał. - Zresztą, moim zdaniem, nie grozi pani żadne niebezpieczeństwo.

- Czyżby? Na jakiej podstawie doszedł pan do takiego wniosku? - zapytała, kładąc dłoń na biodrze. Mathis uniósł rękę i wyliczał, zaginając palce.

- Nie było pogroźek, aktów przemocy, uszkodzenia ciała, otwartych ran. Brak również trupów.

- W pańskim rozumowaniu jest pewna luka - odparła Desiree.

- Znalazła pani jakieś zwłoki?

- Nie. - Umilkła na chwilę. - Grożono mi.

- Kiedy? - Wiadomość zaciekała Mathisa.

- Ostatniej nocy.

- Gdzie to się wydarzyło?

- W rodzinnych apartamentach.

- Pani tam teraz mieszka, prawda? - spytał rzeczowo.

- Owszem.

- Sama? - dodał. Skinęła tylko głową. Mathis zmierzył ją taksującym spojrzeniem, ale w jego wzroku nie było ani śladu typowo męskiego zainteresowania. Wykonywał swoją pracę, nic więcej. - Odniosła pani jakieś obrażenia?

- Nie. - Energicznie pokręciła głową.

- Jaką formę przybrała groźba?
- Wolałabym, żeby pan sam rzucił na to okiem. Niczego nie dotykałam. Pokój wygląda tak jak w chwili, gdy o północy weszłam do środka.

- Czy mogę spytać, czemu o tej porze spacerowała pani po hotelowym korytarzu? - Czasami nie da się umknąć pytań natury osobistej.

- Obudziła mnie syrena karetki pogotowia. Potem usłyszałam coś dziwnego.

- A konkretnie?

- Ktoś się skradał. - Po chwili namysłu dodała: - To był odgłos kroków.

- Gdzie?

- W korytarzu, tuż pod moimi drzwiami.

- Były zamknięte na klucz?

- Nie.

Odwrócił głowę i obrzucił Desiree badawczym spojrzeniem.

- Dlaczego?

- W rodzinnych apartamentach nie zamontowano w drzwiach zamków. Gdy moi pradziadkowie budowali ten hotel, życie płynęło spokojniej, ludzie bardziej sobie ufali, a służba była szczerze oddana swoim pracodawcom.

- W tym szaleństwie jest metoda. Większość zamków i tak można otworzyć spinką do włosów, jeżeli ma się trochę wprawy.

- Bardzo mnie pan uspokoił.

- Nie powiedziałem tego, żeby panią zdenerwować, ale daleki jestem także od stwarzania pozorów bezpieczeństwa. - Mathis postanowił rozmawiać z Desiree otwarcie. - Póki będę zajmował się tą sprawą, zamierzam informować panią o wszystkich szczegółach i nie owijać niczego w bawełnę.

- Będę panu za to bardzo wdzięczna.

Winda stuknęła i zatrzymała się na czwartym piętrze. Wyszli na korytarz.

- Chciałbym zajrzeć do wszystkich pokoi.

Desiree Stratford pokazała mu rodzinne sypialnie, małą kuchenkę, gdzie można było przygotować kawę lub herbatę, oraz pokój gościnny, w którym obecnie mieszkała.

- Obok jest bliźniacza sypialnia. Te dwa pomieszczenia łączy duża łazienka. Po prawej stronie znajduje się salon, przylega do niego gabinet mego pradziadka.

Drzwi były uchylone. Desiree otworzyła je szerzej. skinęła na Mathisa i weszła do środka.

- Ładny pokój - stwierdził, rozglądając się po obszernym pomieszczeniu. - Kiedy pani wyszła z sypialni, w korytarzu nie było nikogo? - zapytał. Desiree skinęła głową.

- Zobaczyłam, że drzwi gabinetu są uchylone. Pracowałam wczoraj do późnej nocy i doskonale pamiętałam, że wychodząc, zamknęłam je za sobą. - Desiree ukradkiem zwilżyła usta czubkiem języka. Po raz pierwszy Mathis dostrzegł u niej odruch zdradzający spore zdenerwowanie. - Postanowiłam sprawdzić, co się dzieje, więc chwyciłam laskę pradziadka i nie wchodząc do gabinetu, wyciągnęłam rękę i zapaliłam światło.

- Ryzykowne posunięcie.

- Być może.

- Powinna pani najpierw ułożyć ogólny plan działania, zamiast improwizować w zależności od sytuacji - oznajmił Mathis.

Poczuł na sobie zaciekawione spojrzenie zielonych oczu.

- Czemu pan tak sądzi?

- To nie ja, tylko generał Sun Tzu. Nie pamiętam dokładnie tego cytatu.

- Nie słyszałam nigdy o takim dowódcy.

- Nic dziwnego. To postać z zamierzchłych czasów. Około roku pięćsetnego naszej ery napisał traktat zatytułowany „Sztuka wojny”

- Czyżby w moim hotelu toczyła się wojna, panie Hazard? - zapytała Desiree, splatając ramiona na piersi.

- W pewnym sensie, panno Stratford.

- A pan jest samurajem przebrany za kowboja?

Mathis wzruszył ramionami.

- Samuraj to japoński wojownik pochodzący z wyższych warstw społecznych, a generał Sun Tzu był Chińczykiem. - Mathis uznał, że po tej dygresji pora wrócić do wydarzeń poprzedniego wieczoru. - A zatem chwyciła pani laskę, włączyła światło i...

- Gabinet był pusty.

Mathis Hazard nie oczekiwał innej odpowiedzi.

- Czemu uznała pani, że to wydarzenie jest swego rodzaju pogrózką?

- Proszę obejrzeć biurko.

Mathis obrócił się i ruszył w stronę okna. Po chwili ujrzał sztylet wbity głęboko w blat biurka.

- O kurza twarz! - wymamrotał półgłosem.

ROZDZIAŁ PIĄTY

- To mi się nie podoba - powiedział Mathis Hazard, obchodząc mahoniowe biurko.

Nie odrywał wzroku od białego w blat sztyletu.

- Mnie również - odrzekła Desiree.

Uniósł głowę i rzucił jej badawcze spojrzenie.

- Niczego pani nie dotykała, prawda?

- To chyba jasne - odparła, nie odwracając wzroku.

Po chwili namysłu Mathis podsumował spostrzeżenia.

- Sztylet to element dekoracji na ścianie i stamtąd został wzięty, list napisano na hotelowej papeterii.

Desiree potwierdziła jego domysły skinieniem głowy i wyjaśniła, do kogo należała ozdobna broń. Mathis pochylił się nad biurkiem, by popatrzeć na list.

- Ostrzeżenie - przeczytał głośno. - Czy ma pani jakieś podejrzenia? Kto mógł napisać ten list?

- Nic mi nie przychodzi do głowy, panie Hazard - odparła stanowczo.

- Mam na imię Mathis - wpadł jej w słowo. - Moim zdaniem nie możemy zwracać się do siebie tak oficjalnie. Uchodzimy przecież za małżeństwo. Trzeba od razu przejść na ty, bo w przeciwnym razie prędzej czy później mimo woli się zdradzimy.

Desiree wątpiła, czy rzeczywiście będą w stanie przekonująco udawać parę, która jest w separacji, ale zwleka z rozwodem, jednak przypomniała sobie niedawną rozmowę z trzema rezydentkami w hotelowej recepcji. Mathis Hazard w jednej chwili zamącił im w głowach i przekonał do swojej wersji zdarzeń.

Odetchnęła głęboko, by nad sobą zapanować. To jasne, że nie ma odwrotu. Gdyby naprawdę chciała zdemaskować Mathisa Hazarda - co zresztą nie przyniosłoby jej żadnych

korzyści - powinna to zrobić od razu. Oblizła wargi i powiedziała:

- Zgadzam się, że w naszej sytuacji łatwo o przypadkowy błąd. Skoro nie ma innego wyjścia, mówmy sobie po imieniu.

- Słuszna decyzja! Gdybym wyszło na jaw, że nie jesteśmy małżeństwem, musiałbym się gęsto tłumaczyć, a na domiar złego śledztwo stałoby się o wiele trudniejsze i nie wiem, czy zdołałbym rozwikłać tę sprawę.

Desiree była tego samego zdania. Mathis zerknął na zagadkowy list.

- Czy to pierwsza groźba pod twoim adresem?

- Tak.

- O co tu chodzi? Masz jakieś sugestie?

- Nic mi nie przychodzi do głowy. Może to głupi żart albo czcze pogrożki? - myślała głośno.

Mathis nie podzielał jej optymizmu.

- Wszystkie groźby trzeba traktować poważnie.

- A jeśli ktoś próbuje mnie ostrzec, a nie nastraszyć?

- W takim razie po co używałby sztyletu? Widok jest przerażający i najwyraźniej o to temu komuś chodziło.

- Słuszna uwaga. Gdyby autor tego anonimu miał dobre intencje, napisałby ostrzeżenie szminką na lustrze albo wsunąłby list pod moje drzwi.

- Takie wiadomości przekazuje się różnymi drogami - zgodził się Mathis i spytał rzeczowo. - Czemu nadawca wybrał sposób, który trąci melodramatem?

- Chciał zwrócić na siebie uwagę.

- Bardzo słusznie - uznał Mathis.

- Muszę przyznać, że mu się udało. Być może nie działa sam. Kimkolwiek są nieznani sprawcy, dopięli swego. - Desiree wcale nie chciała ich spotkać. - Zapewne chodziło im jedynie o to, by mnie wytrącić z równowagi - dodała z nadzieją.

- Tego nie powiedziałem - sprzeciwił się natychmiast Mathis. Desiree w milczeniu pokiwała głową, przyznając mu rację. - Sądzę, że to ostrzeżenie należy traktować bardzo poważnie. Z mego doświadczenia wynika, że sprawy z pozoru błahe po pewnym czasie nabierają znaczenia i mogą stanowić śmiertelne zagrożenie.

- Krótko mówiąc, lepiej na zimne dmuchać, niż się sparzyć? - podsumowała żartobliwie.

- Naturalnie. - Mathis zmarszczył brwi, spoglądając na sztylet i list. - Kiedy chodzi o bezpieczeństwo, nie wolno lekceważyć niczego. Trzeba mieć oczy szeroko otwarte i uważać na każdy drobiazg, bo w przeciwnym razie czekają nas przykre niespodzianki. Lekkomysłność ma zwykle opłakane skutki. - Ujął rękojeść sztyletu, poruszył nim lekko i podniósł nóż na wysokość oczu. Zaniepokojona Desiree przygryzła wargę.

- Chyba powinniśmy zdjąć odciski palców.

- Na pewno nie znajdziemy żadnych śladów - odparł Mathis z drwiącym uśmiechem. - Człowiek, który się tu dostał, nie jest głupcem, a jedynie tacy zostawiają odciski palców.

Desiree nagle zdała sobie sprawę z niebezpieczeństwa. Był ciepły letni dzień, a mimo to poczuła przenikający ją chłód. Zadrzała. Mathis rzucił jej badawcze spojrzenie.

- Postępujemy wedle określonej procedury - mruknął uspokajająco.

- Jak mam to rozumieć? - spytała, nieco zbita z tropu, ale nie odpowiedział na pytanie. Zamyślił się i zaczął chodzić po pokoju.

- Sun Tzu powiada, że nie należy przedwcześnie dobywać miecza - wymamrotał nagle. Desiree obserwowała go z niedowierzaniem. - Sam w ogóle nie używał broni, ponieważ był doskonałym strategiem. W książce poświęconej sztuce

wojowania pisze, że należy planować skrycie, działać podstępnie i bez rozlewu krwi udaremniać zamiary wroga. - Po chwili otrząsnął się z zadumy, spojrzał na Desiree i oznajmił: - Nikt z moich klientów nie doznał nigdy uszczerbku. Zależy mi na podtrzymaniu dobrej reputacji.

Desiree przyznała w duchu, że ten mężczyzna ją zainteresował, choć powody owej ciekawości były dość przyziemne. Tak czy inaczej do pewnego stopnia mógł się podobać kobiecie, u której prymitywne instynkty doszły chwilowo do głosu. Był opanowany, pewny siebie i bardzo się różnił od jej znajomych. W jego obecności czuła się zakłopotana.

Usłyszała znaczące chrząknięcie, a potem stanowczy głos:

- Musimy przyjąć kilka podstawowych założeń,
- Rozumiem. - Nie wiedzieć czemu serce zabiło jej mocno.

Mathis obserwował ją z kamienną twarzą.

- Póki sprawa nie zostanie rozwiązana, a machinacje twoich wrogów udaremnione, ja tu rządę.

- Posłuchaj, Hazard, to mój hotel - przypomniała mu z irytacją.

Bez mrugnięcia okiem odwrócił się i ruszył ku drzwiom.

- Dokąd się wybierasz? - zawołała.

- Rezygnuję - odparł, nawet się nie zatrzymując. Nacisnął klamkę. Desiree nie wierzyła własnym uszom. Przystanął wreszcie na moment; wysoka, barczysta sylwetka odcinała się wyraźnie na tle jasnych drzwi. - Chcesz, żebym wyszedł? - zapytał po chwili milczenia.

- Nie - odrzekła i westchnęła ciężko.

- Mam ci pomóc w rozwikłaniu tej sprawy? - Desiree poczuła na sobie badawcze spojrzenie ciemnych oczu. Wiedziała, że Mathis stawia jej ultimatum. Albo przyjmie jego warunki, albo będzie musiała zatrudnić innego detektywa. Nie

miała wyboru. Znalazła się w trudnej sytuacji i potrzebowała jego pomocy, opieki, doświadczenia. I obecności.

- Tak - powiedziała z ociąganiem.

- W takim razie od tej chwili ja tu rządę. - Mathis Hazard nie uznawał kompromisów. - Będziesz robiła, co każę. Bez dyskusji. Żadnych pytań ani protestów. Zrozumiałaś?

To była dla niej trudna chwila, ale powściągnęła dumę i skinęła głową.

- Zrozumiałam.

- Doskonale. - Mathis podszedł bliżej i stanął na środku pokoju. - Potrzebuję informacji. Kto mieszka na stałe w hotelu?

Desiree pośpieszenie wymieniła obecnych rezydentów.

- Rashid Modi, nasz dyrektor, Andre, czyli szef kuchni, kilkoro podkuchennych oraz panny Mays i Cherry Pye.

- Kto jeszcze?

- To już wszyscy.

- A sprzątaczkę?

- Zwolniła je moja poprzedniczka. Raz w tygodniu przyjeżdża do nas ekipa z pewnej firmy, żeby odkurzyć i umyć, co trzeba - wyjaśniła.

- Tak rzadko?

- Na gruntowniejsze porządki po prostu nas nie stać. W tej chwili prócz rezydentek nie ma tu innych gości.

- Masz trudności finansowe?

Desiree nie chciała ujawniać, w jakiej kondycji finansowej znajduje się jej hotel, ale nie miała wyboru. Musiała być szczerą z Mathisem.

- Wygląda na to, że będę musiała zamknąć, a w najgorszym razie sprzedać Stratford.

- Twoim rezydentkom grozi utrata stałego lokum. Jak się na to zapatrują? - spytał Mathis.

- Nie mają pojęcia, co je czeka.

- Jesteś pewna? - Spojrzał na nią z powątpiewaniem.

- Zapewne podejrzewają, że sytuacja nie wygląda różowo, ale nikt im jeszcze nie wyjaśnił, w czym rzecz. - Po chwili dodała skwapliwie: - Cokolwiek się wydarzy, a trudno mi teraz przewidzieć, jak się sprawy potoczą, zapewniam cię, że nie pozwolę, aby trzy stare kobiety zostały wyrzucone na bruk.

- Ani przez moment cię o to nie podejrzewałem - odparł, a potem spytał: - Czy zwolniłaś kogoś ostatnio?

- Nie.

- Może ktoś z pracowników otrzymał nagane?

- Nic mi o tym nie wiadomo.

- Czy mógłbym przejrzeć dokumentację z ostatniego roku? Poza tym chciałbym porozmawiać z panem Modi. Po śmierci Charlotte zarządzał hotelem, prawda? Czy ktoś z personelu ma do ciebie żal? - Zaprzeczyła po chwili namysłu.

- Zastanów się, Desiree. Każda drobnostka może być istotna, choćby z pozoru wydawała ci się nie związana ze sprawą.

- Mathis, już powiedziałam, że trudno mi wskazać osobę, która ma powody, by żywić do mnie urazę.

- Zrozum, szukam motywu.

- To oczywiste. - Nie musiał jej tego wyjaśniać. Przecież nie była idiotką i zdawała sobie sprawę, czemu ją wypytuje. Zniecierpliwiona wzruszyła ramionami, ale Mathis nie dawał za wygraną.

- Moim zdaniem jesteś tu jedyną osobą, która zna wszystkie odpowiedzi, chociaż nie ma o tym pojęcia. Wróćmy do konkretów. Rozmawialiśmy o trudnej sytuacji finansowej hotelu Stratford. Budynek wymaga remontu. - To było stwierdzenie faktu, a nie pytanie.

Desiree westchnęła mimo woli.

- To prawda. Konieczna jest gruntowna przebudowa, co oznacza spore wydatki.

Mathis słuchał z roztargnieniem.

- Czy nie sądzisz, że kluczem do tej sprawy mogą być wydarzenia z życia twego pradziadka?

- To bardzo prawdopodobne.

- Opowiedz mi o nim - poprosił, a Desiree chętnie uległa jego namowom. Gdy skończyła, padło kolejne pytanie. - Czy miał swoje ulubione cytaty, anegdoty, historie?

- Tak. Kiedy byłam małą, opowiadał o latach spędzonych w Indiach. Uwielbiałam jego gawędy. Z czasem stało się dla mnie jasne, że trochę koloryzował, czasem nawet zmyślał.

- Pamiętasz, o czym mówił?

Desiree podeszła do okna. Poranne światło wpadało przez szparę między zasłonami. Przymknęła oczy i rozkoszowała się ciepłem słonecznych promieni.

- Chętnie wspominał podróże koleją: żar lejący się z nieba, tłumy pasażerów, ogromne przestrzenie i niewiarygodne tajemnice Indii.

- Nigdy tam nie byłem - wtrącił zamyślony Mathis.

- Ja również - przyznała z uśmiechem.

- Mów dalej.

- Co roku, gdy nadchodziły potworne upały, pradziadek i prababcia jechali z dziećmi, służbą oraz grupą znajomych w górzyste okolice, gdzie było chłodniej. Mieszkali w ogromnym domu z kamienia. U sufitu zawieszane były szerokie bambusowe wachlarze, poruszane za drobną opłatą przez miejscową dzieciarnię. Po południu pradziadkowie przesiadywali z gośćmi na ocienionej werandzie, pili herbatę i dyskutowali o stanie brytyjskiego imperium. Z żalem wspominali potem dawne czasy i powtarzali, że przeszłość nie wróci.

- Mieli rację - wtrącił z uśmiechem Mathis.

- To prawda. - Desiree zamyśliła się na chwilę, a potem dodała: - Pradziadek lubił opowiadać i sporo się od niego

dowiedziałam. Z braku czasu nie przytoczę ci tych historii, ale jedną powinieneś usłyszeć. Wiem od niego, że uratował kiedyś życie synowi maharadży.

- Co dostał w nagrodę?

- Wyobraź sobie moją reakcję - odparła - gdy usłyszałam, że otrzymał w darze prawdziwego słonia. Byłam niepokieszona, kiedy się okazało, że ten niezwykle podarek został w Indiach, gdy pradziadkowie wyjechali do Stanów. - Desiree zachichotała mimo woli. - Miałam nadzieję, że pradziadek mi go odstąpi. - Umilkła i westchnęła głęboko.

- Z tych opowiadań niewiele wynika, prawda?

Mathis Hazard nigdy się nie poddawał.

- O ile mi wiadomo, twój pradziadek nie żyje od dwudziestu lat. Czy w rodzinnym archiwum zachowały się jego dokumenty?

- Wszystko jest tutaj. - Desiree wskazała biurko i regały. - Dokumenty, listy, rachunki. Przeglądałam je wieczorami.

- Znalazłaś coś ciekawego?

- Głównie materiały dotyczące Indii. Pradziadek prowadził dziennik. Nie wyrzucał żadnych papierów. Tylko archiwista może się w tym połapać.

- Dokumenty to twoja specjalność, prawda?

- Zajmuję się głównie ich konserwacją. Oceniam także wartość historyczną - odrzekła z ożywieniem Desiree. Nareszcie trafiła na swój ulubiony temat. - Dziewiętnastowieczne dokumenty to dla specjalisty prawdziwe wyzwanie, bo ze względu na ówczesną technologię produkcji papieru niszczejają szybciej od innych. Za dziesięć lat większości nie będziemy w stanie odczytać. Mamy wspaniale zachowane księgi z jedenastego wieku, a papier sprzed niespełna stu lat rozpada się w rękach. Na szczęście są już technologie umożliwiające spowolnienie tego procesu.

- To swego rodzaju wyścig z czasem.

- Owszem. Robimy mikrofilmy; to jedyny sposób, żeby zachować teksty dla przyszłych pokoleń.

Mathis obserwował ją uważnie. Pomylił się, sądząc, że jest zimna i bezduszna. Zwiodła go chłodna, północna uroda i pozory wyniosłości. W gruncie rzeczy miał do czynienia z kobietą pełną zapału, ciekawą świata i nieobliczalną jak gorejący jasno płomień. Imię Desiree oznaczało gorące pragnienie. Teraz się przekonał, że do niej pasuje, choć w pierwszej chwili był innego zdania. Może warto lepiej poznać tę bostońską pannę z dobrego domu? Kumpel chyba nie miał racji i przesadzał w niechęci do kobiet. Może to prawda, że każdemu mężczyźnie przeznaczona jest ta jedna, jedyna, wyśniona. Warto zadać sobie sporo trudu, żeby ją odnaleźć.

W chwili gdy ta myśl przemknęła mu przez głowę, ogarnęło go dziwne uczucie; był wytrącony z równowagi, zaniepokojony, wyjątkowo czujny.

Nie mógł się zdradzić. Powinien zachować spokój i nie dać po sobie poznać, że ma jakieś podejrzenia. Czuł, że jest obserwowany. A może chodziło raczej o Desiree?

Jeszcze przez chwilę udawał, że słucha jej uwag dotyczących konserwacji wiekowych dokumentów. Podszedł do biurka i zaczął przestawiać drobiazgi umieszczone na blacie: kałamarz z brązu, lampkę z zielonym abażurem, fotografię starszego pana i jasnowłosej dziewczynki. To z pewnością Desiree oraz jej pradziadek.

Rozejrzał się po pokoju, chcąc przy okazji zerknąć tam, gdzie był zapewne nieproszony gość. Niemal czuł na sobie jego wzrok. W szybach masywnej biblioteczki odbijały się sylwetki jego i Desiree oraz szeroko otwarte drzwi prowadzące do salonu. Nie było tam nikogo. Z pozoru wszystko w porządku.

Mathis polegał na swoich odczuciach, które nie pojawiały się nigdy bez przyczyny i wielokrotnie ratowały życie jemu oraz innym ludziom. Znajomi Hazardów twierdzili, że wyczucie niebezpieczeństwa jest w tej rodzinie dziedziczne.

Odczekał chwilę i prawie się uspokoił, gdy nagle usłyszał stłumiony odgłos dochodzący z niewielkiej odległości. Z pewnością nie wydała go Desiree. A więc kto?

Mathis podszedł i objął ją ramieniem.

- Rób, co mówię - szepnął jej do ucha. Można by pomyśleć, że całuje włosy ukochanej. Spojrzała mu w oczy, poruszona niezwykłością tego zachowania. Przytulił ją mocniej i zbliżył usta do jej warg.

- Pocałuj mnie.

Chciała zaprotestować, ale przypomniała sobie o niedawnej obietnicy i ugryzła się w język.

- Szybko! - dodał zniecierpliwiony.

Desiree stanęła na palcach, zarzuciła Mathisowi ramiona na szyję i pocałowała go w usta.

ROZDZIAŁ SZÓSTY

Oszołomiona Desiree przyłapała się na tym, że szuka analogii między Chicago i Mathisem - między tym szalonym miastem, do którego się niedawno przeniosła, i nieobliczalnym mężczyzną, trzymającym ją w ramionach. Tabuny koni i kowboje; plujące ogniem karabiny i gangsterzy. Wniosek był oczywisty: Mathis dobrze się tu czuł, bo Chicago to swoista enklawa Dzikiego Zachodu w bardziej cywilizowanym regionie.

Po chwili zastanowienia doszła do wniosku, że dała się zwieść pozorom. Przecież to nie dzika żądza, tylko całkiem inna przyczyna skłoniła Mathisa, by wziął ją w ramiona i domagał się pocałunku. Desiree natychmiast wyczuła ledwie dostrzegalną zmianę w jego zachowaniu, która nastąpiła tuż przed dziwnym żądaniem. Zdała sobie sprawę, że Mathis, nie przerywając pocałunku, pilnie nasłuchuje i ukradkiem rozgląda się po gabinecie, jakby spodziewał się, że kogoś zobaczy.

To jasne, że nie chodziło mu o nią, kogo zatem wypatrywał? Przecież w rodzinnych apartamentach byli teraz zupełnie sami. Powinnam mu zaufać, powtarzała sobie w duchu. Ma przecież doświadczenie, a także pierwotne wycucie niebezpieczeństwa typowe dla ludzi żyjących w kontakcie z naturą.

Gdy zaczęli się całować, Desiree miała świadomość, że to po prostu gra: dwoje obcych ludzi udaje namiętność, by pokrzyżować szyki niewidzialnemu przeciwnikowi. Szybko jednak przekonała się, że oboje mimo woli naprawdę zaczynają odczuwać pożądanie, które miało być tylko na pokaz. Zrobiło jej się gorąco, a zarazem drżała w jego objęciach. Serce kołatało jej niespokojnie, lecz to przecież bez znaczenia, skoro ta scena nie ma nic wspólnego z rzeczywistością.

Ich pierwszy pocałunek w holu był tak niespodziewany i pospieszny, że nie zapamiętała kształtu ani smaku warg Mathisa. Trudno jej było określić jego zapach i nazwać odczucia, które się w niej budziły, kiedy jej dotykał. Szybko jednak nadrobiła zaległości i wkrótce dużo już o nim wiedziała.

Wciągnęła głęboko powietrze i poczuła woń otwartej przestrzeni, skóry, spranej flaneli i dobrego mydła, a także wody po goleniu z dyskretną nutą sosny. Usta Mathisa smakowały jak cytrus i dobra, mocna kawa.

Desiree przesunęła dłońmi po muskularnych ramionach i wtuliła się w jego objęcia. Już wiedziała, z kim ma do czynienia. Ten mężczyzna nie owijał niczego w bawełnę i żył tak samo, jak całował: mocno, szybko i zachłannie. Był uczciwy, godny zaufania i prostą drogą zmierzał do celu. Dotrzymywał słowa i z pewnością nie oszukałby kobiety. Pojęła to w ułamku sekundy, lecz w tej samej chwili uświadomiła sobie, że to niemożliwe, by w ten sposób dowiedzieć się czegoś o nieznanym. Zachowała się karygodnie: całowała obcego człowieka i była tym zachwycona. Uwielbiała jego pocałunki!

Bzdura! Takie zachowanie do niej nie pasuje. Skoro nie ma pojęcia, jaki to człowiek, powinna go odepchnąć i natychmiast wziąć się w garść.

Z drugiej strony jednak nie był dla niej kimś zupełnie obcym. Trochę już o nim wiedziała: na pewno świetnie całował i miał podzielną uwagę, był czuły i namiętny. Ciekawe, czy śnił o niej tak bezwstydnie, jak to się jej zdarzało od ich pierwszego spotkania. Zarumieniła się na wspomnienie marzeń sennych, które ją ostatnio nawiedzały.

Niebezpieczeństwo minęło. Mathis wyczuł to od razu, ale po chwili wprowadził istotną poprawkę do swego rozumowania. Zagrożenie było podwójne; to pierwsze już

zniknęło; drugim była Desiree, którą nadal trzymał w ramionach.

Nakazał jej szeptem, żeby go pocałowała, bo chciał zmylić tajemniczego obserwatora. Początkowo wszystko szło po jego myśli, potem jednak sytuacja się zmieniła. Gdy zdał sobie sprawę, że nikt się im już nie przygląda, zrozumiał, jak wielkie niebezpieczeństwo stanowi Desiree - dziewczyna o porcelanowej cerze, jedwabistych włosach, słodkich ustach - która drżała teraz w jego objęciach. Czy była tego świadoma? Udawana namiętność zmieniła się nagle w prawdziwą. Mathis oddał pocałunek, ponieważ tego pragnął. Uniósł głowę i spojrzał na śliczną twarz Desiree, która otworzyła oczy i szeptem wypowiedziała jego imię. Pocałował ją znowu, jakby nagle zapomniał o wszelkich skrupułach i uprzedzeniach. Zdrowy rozsądek podpowiadał mu, że to nie jest mądre posunięcie, ale machnął ręką na obawy i konsekwencje. Tym razem całował Desiree, ponieważ sam tego pragnął.

Była chłodna i rozpalona, odpychająca i chętna, wstydliva i zarazem śmiała, jakby pocałunek dodał jej odwagi. Tulila się do niego, a jednocześnie próbowała się wyrwać. Chętnie go całowała, lecz była tym bardzo zdziwiona. Krótko mówiąc, stanowiła uosobienie sprzeczności. To normalne u kobiet.

Mathisowi przemknęło przez myśl, że w ciągu trzydziestu sześciu lat swego życia wielokrotnie znajdował się w niebezpieczeństwie i dzięki przezorności z licznych zasadzek wyszedł bez szwanku, ale nigdy mu się nie zdarzyło, by dobrowolnie pakował się w kłopoty, świadomy tego, jakie to może mieć dla niego konsekwencje. Desiree sprawiła, że zapomniał o ostrożności.

Nie była przecież w jego typie. Z drugiej strony jednak nie umiał określić, jakie kobiety mu się podobają. Z pewnością nie były to bostońskie damy z wyższych sfer. Desiree Stratford nosiła naszyjniki z pereł i markowe stroje włoskich

projektantów. Mathis był zaś zwykłym prowincjuszem, chętnie wkładał kowbojki i nie rozstawał się z kapeluszem o szerokim rondzie. Jej rodzinne strony to Wschodnie Wybrzeże, on wolał rozległe pustkowia Nowego Meksyku. Desiree wychowała się w mieście, Mathis urodził się na ranczu. Krótko mówiąc, panna z dobrego domu nie pasowała do mieszkańca Dzikiego Zachodu.

Z drugiej strony jednak, kiedy trzymał ją w ramionach i namiętnie całował, te wszystkie różnice nie miały znaczenia. Pragnął jej dotykać; chciał, by oddała mu pocałunek, skwapliwie rozchyliła wargi i mocno przytuliła się do niego. Nie miał wątpliwości, że oboje czerpali z tego równą przyjemność.

Kiedy Desiree wysunęła się z jego objęć, niezadowolony jęknął głucho.

- Moim zdaniem niebezpieczeństwo minęło - szepnęła, podnosząc głowę, by na niego spojrzeć.

- Naprawdę? - odparł, zaglądając w zielone oczy, które pociemniały i zasnuły się tajemniczą mgłą.

Bez słowa pokiwała głową. Miała rację. Poczucie zagrożenia nagle zniknęło, ale Mathis wciąż był niebezpieczny. Oboje zdawali sobie sprawę, że sytuacja lada chwila może się wymknąć spod kontroli. Mimo to po chwili namysłu dodał:

- Tak. Wszystko w porządku?

- Co to było? - spytała.

Potem cofnęła się i odruchowo poprawiła włosy zwinięte w ciasny kok. Mathis był z nią całkowicie szczery.

- Nie umiem powiedzieć konkretnie, w czym rzecz.

- Ja również wyczułam niebezpieczeństwo - stwierdziła z niedowierzaniem, jakby zaskoczyła samą siebie.

Mathis dopiero teraz spostrzegł, że upuścił na podłogę biały kowbojski kapelusz. Kiedy całował Desiree, był tak

zaabsorbowany, że całkiem o nim zapomniał. Schylił się, podniósł go i starannie otrzepał wierzchem dłoni. Po chwili milczenia Desiree odezwała się znowu.

- Odniosłam wrażenie, że ktoś nam się przygląda i podsłuchuje, o czym rozmawiamy.

- Ja również.

- Nie potrafię wskazać, skąd nas obserwowano - powiedziała, mrużąc oczy.

Mathis zastanawiał się przez moment.

- Chyba wiem.

- Niesamowite!

- Stamtąd - odparł, wskazując ścianę za plecami Desiree.

Odwróciła głowę i popatrzyła w tamtym kierunku.

- Widzę tylko mur - powiedziała, nieco zbity z tropu.

- Nie da się ukryć.

- Z pozoru to bez sensu, prawda? - zauważyła, marszcząc brwi. Mathis pokiwał głową. Słuszna uwaga. Można by uznać, że to jakaś cholerna bzdura, ale przekonał się wielokrotnie, że lepiej nie wysnuwać pochopnych wniosków, bo zwykle okazują się błędne. Nigdy nie lekceważył swoich przeczuć i dobrze na tym wychodził. Od tej reguły był tylko jeden wyjątek: zdawał sobie sprawę, że Desiree stanowi dla niego poważne zagrożenie, lecz mimo to pozostawał głuchy na głos rozsądku.

Mniejsza z tym. Trzeba wziąć się do pracy.

- Co dalej? - dopytywała się Desiree.

- Potrzebuję twojej zgody na drobiazgowo oględziny tej części hotelu.

- Możesz zaglądać wszędzie, gdzie chcesz.

- Mogę zatrzymać ten list?

- Oczywiście, chociaż wątpię, by udało się coś z niego wydedukować - odparta, wzruszając ramionami, i podała mu kartkę papieru.

- Zamierzam przeprowadzić dyskretne śledztwo.
 - Mam nadzieję, że nikt się nie zorientuje, iż jest przez ciebie inwigilowany - stwierdziła.
 - To chyba oczywiste. - Mathis potrafił zdobywać informacje tak, by nikt się nie zorientował, że mu ich dostarcza. - Potrzebne mi również plany budynku. Mam nadzieję, że będziesz mogła je zdobyć.
 - Jutro po południu spotykam się z grupą architektów pracujących nad renowacją hotelu. Poproszę, żeby przygotowali całą dokumentację.
 - Dzięki, bardzo mi się ona przyda.
 - Czego jeszcze potrzebujesz?
 - Pokoju dla Kumpla.
 - Dopilnuję, żeby Modi się tym zajął. - Desiree nerwowo oblizwała usta. - Ty również powinieneś zamieszkać w hotelu.
 - Już mam odpowiednie lokum.
 - Jak to? - Spojrzała na niego ze zdziwieniem.
 - Zajmę pokój gościnny sąsiadujący z twoim.
- Desiree zamilkła na chwilę, a potem mruknęła chłodno, jak przystało na prawdziwą damę:
- Ach, tak.
- Ciekawe, czy naprawdę rozumie jego intencje.
- Tak będzie najlepiej ze względu na twoje bezpieczeństwo, Desiree - tłumaczył Mathis cierpliwie, patrząc w jej oczy pociemniałe z niepokoju. Postanowił znowu wesprzeć się cytatem. - Lepiej mieć w zanadrzu dobry plan i z góry przygotować metodę działania, niż improwizować zależnie od sytuacji.
 - Tak radzi twój ulubiony generał? - spytała z pobłażliwym uśmiechem.
 - Trafiłaś w dziesiątkę.
 - Muszę kiedyś przeczytać „Sztukę wojny”.
 - Chętnie pożyczę ci mój egzemplarz.

- Przypomnę ci o tym, gdy uporamy się z trudnościami - odparła Desiree.

Nie miał do niej pretensji, że nie chciała od razu skorzystać z jego propozycji. „Sztuka wojny” to bardzo trudna lektura.

Gdy dziesięć minut później wsiedli do windy, nagle przypomniał sobie zasłyszaną kiedyś sentencję: „Na wojnie i w miłości wszelkie chwytaki są dozwolone”. Jej autorem z pewnością nie był generał Sun Tzu.

ROZDZIAŁ SIÓDMY

Nie był podglądaczem. Miał na swoim koncie wiele przewinień: podsłuchiwał, był oszustem i szulerem, nie dotrzymywał słowa, zachowywał się jak tchórz i głupiec. Charlotte często mu wytykała, że mimo podeszłego wieku w ogóle nie zmądrzał. Nigdy jednak nie upadł tak nisko, żeby czerpać przewrotne zadowolenie z podglądania bliźnich. Gdy tamci dwoje zaczęli się całować, odwrócił głowę i odszedł.

Nie był draniem. Przed laty został nawet oficerem, uważał się za człowieka honoru i miał do tego prawo.

Powinien jednak pamiętać, że to dawne czasy. Był tego świadomy, a kiedy je wspominał, odruchowo prostował zgarbione ramiona i podnosił głowę. Musiał jednak uważać, by nie nabić sobie guza w niskim korytarzu.

Właściwie żył tylko przeszłością, która była znacznie ciekawsza od mizernej egzystencji, jaką przyszło mu teraz prowadzić. Z uporem odsuwał myśl o przyszłości, bo gdy się nad nią zastanawiał, robiło mu się ciężko na sercu i tracił pewność siebie.

Coraz częściej wspominał minione lata, bo wtedy czuł się szczęśliwy. To były niezapomniane dni.

Mężczyźni postępowali honorowo. On zaś miał swoje miejsce na ziemi, wiedział, kim jest i ku czemu zmierza. Inni patrzyli na niego z szacunkiem; uchodził nawet za bohatera. To były niezapomniane dni.

- Stary głupcze - mruknął, pocierając dłonią pokryty zmarszczkami policzek. Chyba znów woda kapie z sufitu. Wilgoć na twarzy to nie łzy. Prawdziwy mężczyzna nigdy nie płacze. On przez całe życie nie uronił ani jednej łzy - nawet tej zimnej, gdy umarła Charlotte.

Wyjął chusteczkę z tylnej kieszeni i wytarł nos. Przeklęta alergia; znowu dokucza. Uczulenie na kurz, roztocza, pyłki i

cholera wie, na co jeszcze. Katar wywołany alergią to jedyne rozsądne wyjaśnienie zażawionych oczu.

Na pewno nie był draniem i nie wykazywał morderczych skłonności. Ciekawe, kto zostawił anonim przybity do biurka ostrzem sztyletu. On przecież nie mógłby umyślnie skrzywdzić drugiego człowieka. Nie było jego zamiarem ranić czy nawet straszyć innych.

Dbał po prostu o własne dobro, troszczył się również o panie. Postępował szlachetnie i bezinteresownie, a racja była po jego stronie. Należał im się dach nad głową.

Jak większość ludzi, nie lubił zmian. Niektórzy mówią, że są nieuniknione, ale on nie podzielał tego przekonania. Wszystko powinno zostać tak, jak jest. Tylko podatki i śmierć są nieuchronne, lecz jeśli człowiek ma wystarczająco dużo oleju w głowie, może poradzić sobie z fiskusem i odwlec kres żywota.

Sztuka przetrwania - o to właśnie chodzi! Człowiek powinien walczyć, żeby przetrwać. To jedna z fundamentalnych ludzkich umiejętności. Cokolwiek czynił, jego celem zawsze było przetrwanie.

Kłamca!

Czasami okoliczności zmuszały go, by oszukiwał innych, ale wobec siebie musiał być szczery; taką złożył obietnicę. Przed chwilą łągał jak z nut. Prawda była inna: ludzie zrażali się do niego z powodu szatańskiej pychy.

Napisane jest w Biblii, że pycha przywodzi śmiertelników do zguby, a wyniosłość do upadku. On rzeczywiście upadł, i to nisko, lecz jego duma, szatańska i błogosławiona pycha, pozostała nietknięta. Wszystkim się zdawało, że znalazł sobie inne, lepsze miejsce. Był zbyt dumny, by wyznać, że jest inaczej.

Ale przetrwał mimo wszelkich przeciwności.

Krążył jak duch. Nikt go nie widział, nie słyszał. Wystarczyło zachować ostrożność. Od czasu do czasu, zwłaszcza wtedy, gdy był głodny albo zmęczony, stawał się niezdarny. Bał się wówczas, że odgłosy wzbudzą czyjś niepokój albo ktoś go zauważy. Tak czy inaczej nikt z pewnością nie trafi do jego kryjówki.

Ilekcroć działo się coś niezwykłego, tłumaczono sobie, że budynek jest wiekowy, podłoga skrzypi, stare materiały się zużyły, w korytarzach harczą myszy, a nawet - uchowaj Boże - szczury. Niektórzy wspominali także o duchach.

Nie ma żadnych duchów. Zjawy nie istnieją. Z drugiej strony jednak ktoś tu się kręcił. Na razie nie wiadomo, co to za osoba. Trudno powiedzieć, kto zostawił na biurku starego Julesa ostrzeżenie przebite ostrzem cennego sztyletu i poprzesuwał meble. Co innego wziąć z kuchni to czy owo. Tamte postęпки to nie jego sprawa.

Wróg czaił się w mroku i przemykał ukradkiem w środku nocy. Nie robił tego w dobrych zamiarach. Trzeba mieć oczy szeroko otwarte, żeby jej nic złego się nie stało. Troszczył się o to od lat.

Kowboj miał rację. Tu rzeczywiście toczy się wojna.

ROZDZIAŁ ÓSMY

- Podobno w rocznicę śmierci biegają po korytarzach i strzelają z karabinów widmowymi kulami - oznajmiła panna Maggie Mays, w chwili gdy Desiree weszła do salonu znajdującego się tuż obok głównego holu.

Mathis dopiero teraz zdał sobie sprawę, że od kwadransa czeka na nią niecierpliwie. W hotelu Stratford podwieczorek zawsze podawano o jednej porze, a Desiree spóźniła się dzisiaj ponad dwadzieścia minut. To wbrew jej zwyczajom; była punktualna i doskonale zorganizowana. Przekonał się o tym w ciągu kilka ostatnich dni spędzonych w jej towarzystwie.

- Bardzo przepraszam za spóźnienie - zwróciła się do całego towarzystwa, siadając na wolnym krześle przy stole zastawionym do podwieczorku. - Negocjacje z architektami i konserwatorami zabytków bardzo się przedłużyły. Nie mogłam przerwać rozmowy w pół zdania, bo dotyczyła bardzo ważnych kwestii, między innymi wyboru metody oczyszczenia fresków w holu. - Zamilkła na chwilę, a potem dodała tonem winowajczynie: - Mam nadzieję, że nie czekaliście na mnie i wypiliście już popołudniową herbatę.

- Oczywiście, kochanie - uspokoiła ją panna Molly.

- Proszę coś zjeść. Jest jeszcze keks, pani ulubione ciasto. Doskonale pamiętam.

Mathis był pewny, że Desiree nie lubi ciężkiego placka z bakaliami, bo wspomniała o tym, gdy wraz z Kumplem rozmawiali pewnego wieczoru o ulubionych przysmakach. Przy okazji wyszło na jaw, czego nie cierpią. Desiree miała wstręt do rodzyneków.

Panna Maggie Mays natychmiast poprawiła siostrę.

- To nie panna Stratford. - Umilkła nagle i po chwili namysłu chrząknęła niepewnie. Zmieszana, wypła łyk herbaty

i podjęła watek. - Keks wcale nie jest ulubionym ciastem pani Hazard, moja droga.

Molly była wyraźnie zaniepokojona i trochę urażona. Zerknęła na siostrę ponad drucianą oprawką okularów.

- Czyżby?

Maggie energicznie skinęła głową, a jej siostra bliźniaczka spojrzała na nią, mrużąc krótkowzroczne oczy.

- W takim razie kto lubi keks? - dopytywała się, wyraźnie zbita z tropu.

- Mimo wszystko powinnaś użyć czasu przeszłego - odpowiedziała Maggie.

- Kto lubił keks? - powtórzyła Maggie, akcentując wyraźnie czasownik.

Molly wyprostowała się i odparła:

- Nasz major.

- Oczywiście! Ależ ze mnie idiotka! Jak mogłam się tak pomylić? - Molly spłonęła rumieńcem i zwróciła się do Desiree. - Tak mi przykro, droga pani Hazard. Keks to ulubione ciasto naszego znajomego. Pani najbardziej lubi placek cytrynowy, prawda? - Zerknęła na tacę. - Obawiam się, że Andre go dziś nie upiekł.

- Nie szkodzi. Wystarczy mi filiżanka herbaty. Nie jestem głodna.

- Czy nadal mam nalewać herbatę, jak to czyniałam w czasie pani nieobecności? - wtrąciła Maggie bardzo oficjalnym tonem.

- Będę wdzięczna, jeśli zechce mnie pani wyręczyć - odparta pojednawczo Desiree. Zdawała sobie sprawę, że dla rezydentek hotelu mimo legalnego testamentu i aktu własności nadal jest intruzem. - O czym państwo rozmawiali, nim się zjawiłam?

- Wspomniałam naszemu drogiemu Mathisowi, że rada miejska specjalną uchwałą uwolniła panią O'Leary i jej krowę

Daisy od zarzutu zaproszenia ognia, a tym samym wywołania słynnego pożaru, który miał miejsce w roku 1871 - odparła pospiesznie Molly.

- Bredzisz! Wcale nie było o tym mowy - zaperzyła się Maggie. - Zresztą mniejsza z tym! Naprawdę ją uniewinnili?

- Oczywiście.

- Pomyśleć tylko: zrehabilitowana po tylu latach. A to się rodzina ucieszy! - Maggie pokiwała głową i cmoknęła zabawnie, jakby nie mogła się nadziwić.

Zadowolona z siebie Molly podniosła dumnie głowę i dodała scenicznym szeptem:

- Po wnikliwym dochodzeniu radni doszli do wniosku, że pożar został spowodowany przez niejakiego Daniela Sullivana, który był wówczas parobkiem u Kate O'Leary.

Maggie skrzywiła nos i powąchała nasączoną perfumami chusteczkę z różowej koronki.

- To bardzo ciekawa historia, siostrzyczko, ale nie o tym rozmawialiśmy, nim zjawiała się pani Hazard.

- Naprawdę?

- Chyba nie podejrzewasz mnie o zaniki pamięci! Wspominałyśmy majora, a pretekstem było jego ulubione ciasto, czyli keks.

Mathis uśmiechnął się pobłaźliwie. Urocze staruszki przez dobre pół godziny, jeszcze nim siadły do podwieczorku, zabawiały go opowieściami o duchach nawiedzających hotel. Były to historie mrozące krew w żyłach; jeśli wierzyć bliźniaczkom, każdej nocy w starych korytarzach straszło. Mathis nie miał także ochoty słuchać dywagacji na temat pożaru, który zniszczył Chicago przed stu laty. Trzeba się czegoś dowiedzieć o tajemniczym majorze, skoro jest okazja.

- O kim panie teraz mówią?

Trzy stare panny odpowiedziały zgodnym chórem:

- O majorze Bunku.

- Przez wiele lat mieszkał w tym hotelu - dodała panna Pye.

- Odszedł przed rokiem - dodała z westchnieniem jedna z bliźniaczek.

- Na tamten świat, jak sędzę - wtrącił Kumpel, który czuł się nieswojo, trzymając w ręku filiżankę z kruchej porcelany.

Wiercił się niespokojnie, raz po raz zrzucał na podłogę kowbojski kapelusz zawieszony na oparciu krzesła i schylał się, żeby go podnieść.

- Och, nie, panie Jones! - zaprzeczyła stanowczo jedna z panien Mays. - Zamieszkał na wsi z siostrzenicą i jej mężem.

- Nad pięknym jeziorem - dodała skwapliwie jej siostra.

- Ciekawe - powiedział Mathis i przygryzł wargi, żeby nie wybuchnąć śmiechem.

- Wysyła nam pocztówki, ale wolałybyśmy częściej dostawać od niego wiadomości.

- Często pisze? - wypytywał Mathis z uprzejmym zainteresowaniem.

Sformułowanie odpowiedzi z pewnością zajmie trzem paniom trochę czasu.

- Na Boże Narodzenie dostałyśmy od niego kartkę z prześlicznym widoczkiem - przypomniała sobie Maggie.

- Istotnie - dodała jej siostra.

- Po śmierci Charlotte przyszły wzruszające kondolencje - dodała Cherry Pye.

- Tak było - potwierdziły zgodnie bliźniaczki.

Panna Pye zwróciła się do siedzącego obok niej Kumpla.

- Wydaje mi się, że ostatnia wiadomość od majora przyszła w lutym.

- Uwielbiał hotelowe podwieczorki - stwierdziła z westchnieniem Maggie, a Molly dodała:

- Lubił ciasto.

- Bardzo nam go brakuje.

- Potrzebujemy męskiego towarzystwa.

Na pomarszczonych twarzach pojawił się uśmiech.

- Dlatego cieszymy się, że panowie zawitali w nasze progi. Mamy nadzieję, że zabawicie tu dłużej.

- Nasze plany na przyszłość nie są jeszcze ustalone - odparł wymijająco Mathis, spoglądając przyjaźnie na panny Mays, które miały na sobie identyczne różowe suknie oraz takie same dodatki. Ciekawe, czy każdego ranka dyskutują, jak się należy ubrać.

- Jakie ciasto najbardziej lubi pan jeść na podwieczorek? - spytała Maggie. Mathis odstawił filiżankę, ale zrobił to nazbyt energicznie. Gdy rozległ się charakterystyczny wysoki dźwięk, aż podskoczył na krześle z obawy, że zniszczy cenną porcelanę, ale na szczęście nic się nie stało.

- Ciasto? - powtórzył z roztargnieniem. Postanowił mówić prawdę, bo szczerść nie grozi wpadką. - Trudno powiedzieć. Właściwie nie jadam podwieczorków.

- Coś podobnego! - Panny Mays były szczerze zdumione. Nie brały pod uwagę takiej możliwości.

- Czemu? - spytała rezolutnie Molly.

Nie zmyślaj, Hazard, nakazał sobie w duchu, mów prawdę i unikaj ozdobników.

- Brak mi na to czasu. Mieszkam i pracuję na sporym ranczu. Po południu jestem zwykle z pracownikami na pastwisku lub w oborze. Czasami spędzam całe popołudnie w gabinecie, ślęcząc nad dokumentami - wyjaśnił.

- Gdy Mathis haruje z parobkami, posyłam im duży termos napełniony mocną czarną kawą - wtrącił Kumpel. - Gdy uznam, że zasłużyli, dostają również po kawałku ciasta z brzoskwiniami. To moja specjalność. Dzięki temu mogą jakoś przetrwać.

- Nie rozumiem. - Cherry Pye była wyraźnie zbита z tropu.

- Przynajmniej nie padną z głodu, nim przyjadą na kolację
- wyjaśnił Kumpel.

- Jeżdżą konno?

- Mamy wprawdzie trzysta pięćdziesiąt koni, ale na co dzień jeździ się u nas półciężarówką.

Trzy starsze panie zrobiły wielkie oczy.

- W Nowym Meksyku wszyscy mają takie auta - dodał Mathis.

Cherry Pye była wyraźnie zainteresowana tą informacją. Odłożyła widelczyk, poprawiła czerwony kwiat wpięty we włosy i zapytała krótko:

- Kobiety również?

- Dla pań to życiowa konieczność - stwierdził Kumpel z szelmowskim uśmiechem. - Mężczyźni lecą wyłącznie na babki, które prowadzą duże auta.

Teraz wiem, czemu do tej pory nie miałam powodzenia, pomyślała Desiree, popijając stygnącą herbatę.

- Co pan hoduje na swoim ranczu? - spytała Molly, by zmienić temat.

- Wszystkiego po trochu - odparł Mathis. - Nowa ziemia to nowe możliwości - Każda z pań, łącznie z Desiree, spojrzała na niego wyczekująco, jakby spodziewała się usłyszeć więcej szczegółów. Nie dał się prosić. - Do Nowego Meksyku przeniosłem się niedawno. Przyszedłem na świat i wychowałem się na ranczu dziadka w stanie Wyoming. Tam Kumpel zaczął swoją karierę, a teraz jest najlepszym kucharzem na wschód od Missisipi.

- Byłem mistrzem w tym zawodzie, nim się urodziłeś - stwierdził chępliwie Kumpel. Cherry Pye oblizwała wargi i otarta je dyskretnie lnianą chusteczką.

- Hodujecie krowy na ranczu? - spytała uprzejmie, żeby podtrzymać rozmowę.

- Oczywiście - odrzekł Mathis. - W naszych stronach mówi się raczej o hodowli bydła.

- Na ranchu mamy prawdziwe złoto, czarne złoto i rogate złoto - dodał z zapalem Kumpel.

- Drogi panie Jones, od urodzenia mieszkam w Chicago i w sprawach dotyczących wsi jestem kompletną ignorantką - wyznała Cherry. - Proszę mi wyjaśnić, co pan ma na myśli.

- Z przyjemnością. - Kumpel był wdzięczny losowi, bo wypił herbatę i mógł wreszcie odstawić na spodek kruchą filiżankę. Picie herbaty z takiego naczynia było znacznie trudniejsze niż zabawianie rozmową miłych pań. - Złoto to złoto i nie trzeba nic wyjaśniać. Nasza ruda jest dość bogata w kruszec, a w strumieniach trafiają się piękne samородki. Czarnym złotem nazywamy ropę naftową, a rogate złoto to nasze bydło

- Dlatego używacie bryłek złota, by spinać nimi wasze koszule? - spytała jedna z bliźniaczek.

- To pierwsze samородki znalezione na ranchu. Mathis i ja sami je wyplukaliśmy.

Desiree słuchała z rosnącym zainteresowaniem, ale starała się tego nie okazywać. Uchodziła za żonę Mathisa, więc powinna sporo wiedzieć o jego majątku.

- To wielka posiadłość, prawda? - zapytała panna Molly.

- Oczywiście. Ile liczy hektarów? - Desiree postanowiła zaryzykować. - Co najmniej pięćset, prawda?

Mathis wybuchnął śmiechem.

- Nie masz głowy do liczenia, skarbie! - zawołał, a Desiree spłonęła rumieńcem. Mathis spoważniał i odpowiedział na pytanie.

- Desiree chciała powiedzieć, że mamy około pięciu tysięcy hektarów ziemi. Nie pamiętam dokładnie, bo są jeszcze nieużytki, których z zasady nie wlicza się do powierzchni użytkowej.

- To naprawdę ogromna posiadłość - wykrztusiła Desiree, spoglądając na niego ze zdumieniem.

- W Nowym Meksyku tak się gospodaruje, najdroższa. Przekonałaś się naocznie, że na Zachodzie wszystko jest większe. - Zwrócił się do reszty towarzystwa. - Desiree jest wprawdzie żoną ranczera, ale w głębi serca pozostała mieszczką. Wielkie przestrzenie i rozległe równiny czasem ją przerażają.

Na Zachodzie wszystko jest większe. Zapewne dotyczy to również jego poczucia własnej wartości i diabli wiedzą, czego jeszcze. Najwyższa pora, by spokojnie porozmawiać, zebrać informacje. Powinna się lepiej przygotować do roli żony ranczera. Trzeba poznać więcej faktów z jego życia, których do tej pory nie raczył ujawnić. W przeciwnym razie znowu wyjdzie na kompletną idiotkę.

Kumpel znalazł wreszcie sposobność, by pomówić z szefem na osobności. Wziął go na bok, rozejrzał się niespokojnie, by mieć pewność, że w hotelowej recepcji nikt ich nie podsłuchuje, i wymamrotał półgłosem:

- Klientka ma poważne kłopoty, szefie.

- Wiem - odparł Mathis przyciszonym głosem. - Dlatego tu jesteśmy.

- Nie o to chodzi. Pojawiły się nowe trudności.

Mathis poczuł, że odruchowo napina mięśnie.

- Mów, co się dzieje.

- Ten francuski szef kuchni po południu złożył rezygnację. - Kumpel pogardliwie wzruszył ramionami. - Pewnie usłyszał, że goście krytykują suflet ze szpinakiem, który podał wczoraj na kolację. Był tak wściekły, że zerwał fartuch i odszedł.

- Po czterech dniach na jego garnuszku nie mam powodu, aby narzekać, że się stąd wyniósł - odparł Mathis.

- Ale to oznacza, że prócz mnie nie znajdziesz w tym hotelu żadnego kucharza.

Mathis zdawał sobie z tego sprawę, ale nie zamierzał namawiać Kumpla, żeby wziął się do gotowania. Takie decyzje trzeba podejmować samodzielnie.

- Chętnie zastąpię tego durnia, żeby pomóc naszej klientce, ale muszę mieć twoją zgodę, szefie.

- Mnie nic do tego. Sam decyduj - odparł Mathis.

Kumpel spojrzał na niego z zadumą.

- Chętnie przygotuję moje ulubione dania. Ta Cherry Pye lubi słodczy. Upiekę dla niej dobre ciasto - powiedział z rozmarzonym uśmiechem.

Mathis spojrzał na niego, nie kryjąc zdziwienia.

- W takim razie zaproponuj Desiree, że zastąpisz tego Francuza.

- Ona ci się podoba, co, szefie?

Mathis wcisnął ręce w kieszenie i długo milczał. W końcu skinął głową i westchnął głęboko.

- Tak. To miła dziewczyna. Wpadła mi w oko. Ryzykowne wyznanie! Przecież nie ma dla nich dwojga wspólnej przyszłości.

Bał się przyznać, jak bardzo interesuje go panna Stratford. Nawet wobec samego siebie nie był całkowicie szczery. Desiree doprowadzała go do szaleństwa. Ale ten dziwny stan coraz bardziej mu odpowiadał.

Kilka dni po objęciu funkcji szefa kuchni hotelu Stratford Kumpel znowu doszedł do wniosku, że musi porozmawiać z Mathisem na osobności. Gdy mieszkańcy hotelu zjedli solidne śniadanie składające się z jajek na miękko, ciemnego chleba, grubych plastrów szynki i naleśników z dżemem, a podkuchenni sprzątnęli ze stołu i wzięli się do zmywania, Kumpel zaciągnął przyjaciela do wąskiego korytarza między kuchnią i jadalnią.

- Znow mamy kłopoty, szefie - mruknał.

Obaj pomyśleli, że to zdanie stanie się wkrótce dewizą Kumpla.

- O co chodzi? - spytał Mathis.

- O kotlety z jagnięcia.

- Czy mógłbyś wyrażać się jaśniej?

- Wczoraj zostało kilka z obiadu. Rano brakowało dwóch

- odparł tajemniczo Kumpel. Ta błaża z pozoru sprawa od razu zaciekała Mathisa. Znał dobrze starego przyjaciela i wiedział, że każde jego spostrzeżenie jest na wagę złota. Kumpel nie miał wykształcenia, ale był wyjątkowo bystry i szybko kojarzył fakty. Podjął swoją wyliczankę. - Przedwczoraj zniknęło pół garnka gulaszu z wołowiny, a dzień wcześniej kotlet cielęcy.

- Z tego wniosek, że ktoś stale podkrada żywność z hotelowej spiżarni - podsumował Mathis.

- Na to wygląda - odparł Kumpel, wycierając ręce w ścierkę, którą był przepasany. Mathis skrzyżował ramiona na piersi i stanął na szeroko rozstawionych nogach.

- Moim zdaniem nie robi tego nikt z mieszkańców - stwierdził. Kumpel skinął głową.

- A podkuchenni? - zapytał Mathis, szukając podejrzanych.

- Patrzyłem im ostatnio na ręce. Na pewno nie kradną.

- W takim razie trzeba poszukać tajemniczego złodzieja.

- Coś tu nie gra, szefie - odparł Kumpel, a po chwili namysłu dodał: - Nie wyglądasz na zdziwionego.

- Słuszna uwaga - przyznał Mathis. - Potwierdziłeś moje wcześniejsze domysły. Znikanie żywności idealnie pasuje.

- Do czego?

- Do mojej hipotezy.

- Zdradzisz mi, w czym rzecz?

Mathis zamierzał powiedzieć Kumpłowi o swoich podejrzeniach. To była odpowiednia chwila.

- Moim zdaniem za dziwnymi zdarzeniami w tym budynku stoi ktoś z jego mieszkańców.

George Huxley podsunął mu ten pomysł, gdy spotkali się w biurze agencji. Nie potrafił go rozwinąć, ale jego podejrzenia okazały się trafne. Kumpel potarł gładko wygolony policzek.

- Co robimy?

- Nie ma powodu, żebyś się w to mieszał. Sam się wszystkim zajmę - odparł Mathis.

- Wiesz, gdzie mnie szukać, gdybym ci był potrzebny - odparł z powagą Kumpel i wrócił do kuchni.

- Co będzie na obiad? - krzyknął za nim Mathis.

- Twoje ulubione danie!

- A konkretnie?

- Pieróg z mięsem i warzywami.

ROZDZIAŁ DZIEWIĄTY

Kumpel przeszedł samego siebie. Desiree chętnie przyznała, że Andre nie dorasta temu kowbojowi do pięt. Tego dnia na obiad była rolada wołowa nadziewana mięsem homara, a do niej pieczone ziemniaki i gotowane szparagi oraz znakomity sos wymyślony przez samego Kumpla. Mieszkańcy hotelu siedzieli przy stole, pijąc doskonałą kawę i jedząc bez pośpiechu podane na deser domowe ciasto. Zachwyтом nie było końca. Wszyscy zgodnie twierdzili, że szczęście się do nich uśmiechnęło, obiecując prawdziwą rozkosz dla podniebienia.

Desiree pierwsza wstała od stołu. Wyjaśniła, że musi zapoznać się z planami renowacji hotelu oraz ich kosztorysem, a także przejrzeć do końca archiwum pradziadka. Zjadła kawałek ciasta, wypila kawę, pożegnała towarzystwo i ruszyła na górę, by popracować w gabinecie.

W gruncie rzeczy szukała pretekstu, by posiedzieć w samotności i zastanowić się, co czuje do Mathisa Hazarda. Działał jej na nerwy. Wszędzie go było pełno, mieszał się w nie swoje sprawy, wyrastał jak spod ziemi, gdy wędrowała po budynku, domagał się informacji, zadawał trudne pytania i stale miał na nią oko.

Zachowywał się karygodnie i doprowadzał ją do furii. Był natrętny, obcesowy; strasznie się szarogęsił i traktował ją protekcjonalnie. Na domiar złego wspaniale się prezentował, a ona nie była obojętna na jego urok. Górował nad nią wzrostem. Poza tym nie brakowało mu spostrzegawczości oraz pewności siebie. Okazał się czarujący, choć nieco gruboskórny. Natura była dla niego aż nazbyt łaskawa i obdarowała go z przesadną hojnością.

Desiree ciągle o nim myślała; chyba miała już na jego punkcie obsesję.

- Nie jest w moim typie - powiedziała głośno. - Zresztą wcale mi na nim nie zależy. - Po chwili westchnęła ciężko i dodała: - Kłamczucha ze mnie!

Zgoda, Mathis jej się podobał, ale to tylko powierzchowne zauroczenie przystojnym mężczyzną. Budził w niej jedynie prymitywną żądzę. Chętnie by się z nim przespała, nic więcej.

Litości! Nie sądziłam, że jest aż tak źle, pomyślała z obawą. Gdy w końcu postanowiła być ze sobą szczerą, przyznała, że po raz ostatni tak jej na kimś zależało, gdy jako nastolatka kochała się w koledze z klasy.

Na szczęście szkolne czasy i młodzieńcze uniesienia miała już za sobą. Była kobietą trzydziestoletnią. Niestety, jeśli chodzi o mężczyzn, nie najlepiej sobie radziła. Zawsze tak było. Stanowili dla niej zagadkę. Czują, że się im podoba, a zarazem budzi w nich złość. Nie wiedziała, czemu to przypisać.

Nieprawda; znała odpowiedź. Z natury była wybredna, łatwo zrażała się do ludzi i traktowała ich z wyższością. Mężczyźni uważali ją za chłodną, obojętną, wręcz oziębłą - przede wszystkim dlatego, że nie chciała iść do łóżka z każdym, który dostąpił zaszczytu umówienia się z nią na randkę.

Nie zamierzam nikogo przeproszać za to, że jestem sobą, pomyślała buntowniczo. Trudno wymagać, żebym się zmieniła, bo inni sobie tego życzą.

- Jaka właściwie jestem? - zapytała głośno i natychmiast odpowiedziała sobie na pytanie: - Inteligentna i wykształcona, ceniona specjalistka. Niebrzydka wręcz ładna z dobrą figurą. - Zmarszczyła brwi. I cóż z tego? - Niechciana niezameżna, niekochana - podsumowała swoją życiową sytuację

Znudziły ją próżne dywagacje. Postanowiła zapomnieć o mężczyznach, zwłaszcza o jednym z nich. Zwinęła się w kłębek na wygodnej kanapie w gabinecie pradziadka i

otworzyła oprawiony w skórę zeszyt. Na okładce widniało napisane jego ręką nazwisko oraz data i miejsce: Jules Christian Stratford, 1929 - 1930, Indie.

Desiree otworzyła dziennik na stronie zaznaczonej wstążką z brązowej satyny i pogrążyła się w lekturze.

5 kwietnia 1929

Grace i ja otrzymaliśmy zaproszenie od maharadży.

Odwiedzimy go w letnim pałacu. To wyjątkowy zaszczyt. Sardar i Kamla będą nam towarzyszyć w tej podróży. Dzieci, rzecz jasna, zostaną w domu pod opieką niań.

23 kwietnia 1929

Maharadża powitał nas bardzo serdecznie. Jest dla Grace i dla mnie nadzwyczaj miły. Umieszczono nas w zbyt koźownie urządzonym apartamencie, który jednak nie może się równać z komnatami zajmowanymi przez władcę. Zwiedzaliśmy je dzisiaj. Cóż za przepych, jakie przestrzenie!

Urzekł nas skarbiec maharadży. Istny sezam złożony z wielu pomieszczeń! W jednej sali przechowuje się bezcenne stroje kobiece i męskie, w następnej świeczniki, kandelabry, kryształy i weneckie szkło; osobny pokój zajmują rodowe klejnoty oraz wysadzone drogimi kamieniami przedmioty używane podczas świąt religijnych.

Otrzymaliśmy wspaniałe podarunki. Grace dostała piękny szal oraz cenną miniaturę przedstawiającą damy dworu odpoczywające w uroczym ogrodzie.

Mnie ofiarowano długą ceremonialną szatę ozdobioną bogatym haftem oraz wiekowy gobelin przedstawiający jednego z antenatów maharadży w czasie polowania, które przeszło do historii, bo, wedle opowieści samego władcy, w ciągu jednego dnia padło jedenaście tysięcy kuropatw.

Jutro wybieram się na łowy z maharadżą, jego najstarszym synem oraz dworzanami. Grace będzie na podwieczorku u maharadży. Oboje wiemy, że to ogromne wyróżnienie.

28 kwietnia 1929

To był niezwykle tydzień. Sam nie wiem, od czego zacząć moje zapiski dotyczące kilku ostatnich dni. W dniu polowania odbyliśmy krótką przejażdżkę na grzbietach słoni i szybko natknęliśmy się na złożoną z miejscowych chłopów nagonkę, pędzącą tygrysy w naszą stronę. Zsiedliśmy ze słoni, by przygotować broń do strzału.

Potem wydarzenia następowały po sobie tak szybko, że mam trudności z ich odtworzeniem. Muszę przyznać, że nadal czuję się nieco zagubiony. Dość jednak tych dygresji! Powracam do głównego wątku.

W całym tym zamieszaniu spostrzegłem nagle jakiś ruch na tyłach naszego pochodu. Przebiegł mnie zimny dreszcz, chociaż dzień był upalny. Dostrzegłem ogromnego tygrysa, który zaszedł nas z boku i ruszył w kierunku następcy tronu. W tym momencie nikt go nie osłaniał.

Zachowałem się jak przystoi żołnierzowi i człowiekowi honoru. Skoczyłem naprzód, stając między księciem i atakującym tygrysem, wycelowałem i oddałem strzał. Miałem szczęście. Pierwsza kula trafiła drapieżnika między oczy. Padł martwy u mych stóp.

Od tamtej chwili maharadża nieustannie mi dziękuje. Wczoraj wieczorem wydał uroczyste przyjęcie na moją cześć. Otrzymałem w prezencie słonia, którego sam wybrałem ze stada, a ponadto rolls - royce'a - maharadża ma ich kilka - oraz legendarne „bengalskie ognie”. Byłem zakłopotany i chciałem odmówić, ale nie wypadało tego uczynić, więc musiałem przyjąć dary i uprzejmie za nie podziękować.

Jestem wdzięczny losowi, że dane mi było ocalić życie młodego księcia, z drugiej strony jednak nie mogę zapomnieć, jak piękne było to stworzenie, które musiałem zastrzelić.

Przypomniał mi się słynny wiersz Williama Blake'a:

Tygrysie, łuną dzikiej mocy

W ogromnych świecisz borach nocy
Twą przeraźliwą piękność jakież
Stworzyły ręce, jakież oczy?

(Wiersz Williama Blake'a w przekładzie Zygmunta Kubiaka.)

Desiree podniosła wzrok znad pamiętnika i w zadumie rozglądała się po gabinecie. Łzy stanęły jej w oczach, a gardło miała ściśnięte ze wzruszenia. Szczerze kochała swego pradziadka i to z wielu powodów. Jules Christian Stratford zasługiwał na miłość i szacunek; był dżentelmenem w każdym calu.

Uśmiechnęła się przez łzy, wspominając, jak wielkie ogarnęło ją rozczarowanie, kiedy dowiedziała się, że pradziadkowie nie zabrali wspaniałego słonia do Chicago; ku jej żalowi został w Indiach.

Zmarszczyła brwi, bo uświadomiła sobie, że w dzienniku są pewne niejasności. Zajrzała do tekstu i odczytała półgłosem zagadkowy fragment: ...oraz legendarne „bengalskie ognie”.

O co tu chodzi? W rodzinnych anegdotach i opowieściach nie było o nich mowy. Pradziadek z pewnością nie wspominał o tym podarunku, Desiree mogła zatem uznać, że to błahostka. Z drugiej strony jednak w dzienniku mówi się o „bengalskich ogniach”, które są jednym z cennych prezentów otrzymanych od maharadży. Czemu pradziadek uznał, że przeszły do legendy?

Szósty zmysł oraz kobieca intuicja podpowiadały Desiree, że wzmianka o „bengalskich ogniach” ma ogromne znaczenie.

Czym były? Co się z nimi stało?

Odłożyła dziennik, wstała z kanapy i podeszła do oszklonej szary na książki, gdzie stał wielki słownik Webstera. Znalazła hasło „bengalskie ognie”: „sztuczne ognie - lekko wybuchowe mieszaniny związków chemicznych;

zawierają substancje, które barwią płomień na różne kolory; używane dawniej do sygnalizowania oraz iluminacji".

Notatka w słowniku niewiele wyjaśniła. Desiree energicznie zaniknęła grubym tomem,

- Cholera jasna! - mruknęła z irytacją.

- Proszę, proszę! Takie słowa w ustach damy? - usłyszała niski, trochę drwiący głos. Odwróciła się natychmiast.

- Mathis!

- Witaj, Desiree - pozdrowił ją z przewrotnym uśmiechem.

- Zajrzałam do słownika, bo nie mogę zrozumieć pewnego fragmentu.

Mathis Hazard oparł się ramieniem o framugę, jedną rękę wsunął do kieszeni dzinsów, a drugą otworzył szeroko drzwi. Czemu zawsze chodzi w roboczych spodniach? Nie ma innych?

- Jesteś wyraźnie rozczarowana informacjami, które znalazłaś.

- Szczerze mówiąc, niewiele wyjaśniają - odparła.

- Czego szukałaś? - spytał, unosząc brwi. Desiree westchnęła głęboko i odparła:

- Słyszałeś o bengalskich ogniach?

- Z przykrością stwierdzam, że nic mi nie mówi to określenie.

- Nie bierz sobie tego do serca - odparła żartobliwie, odkładając słownik do szafy. Usiadła znowu na kanapie. - Ja również nie potrafię dojść, o co pradziadkowi chodziło.

Mathis nadal stał w drzwiach, jakby czekał, aż go Desiree zaprosi do środka. Właśnie zamierzała to zrobić. Przecież obiecała sobie, że wypyta o szczegóły z jego życia, by nie skompromitować się po raz drugi, tak jak w czasie pamiętnego podwieczorku, kiedy to zaniżyła dziesięciokrotnie

powierzchnię jego rancza. Niewiele brakowało, żeby kamuflaż diabli wzięli.

- Czy zechcesz się... - Mathis natychmiast ruszył w jej stronę. Nim wymówiła całe zdanie, usadowił się wygodnie na kanapie. - ...do mnie przyłączyć? - mruknęła.

- Dziękuję, bardzo chętnie dotrzymam ci towarzystwa - odparł z uśmiechem. Desiree niespodziewanie poczuła się skrępowana.

- Przeglądałam właśnie dziennik pradziadka - wypowiedziała głośno pierwszą myśl, która przyszła jej do głowy. Mathis sięgnął po leżący na kanapie zeszyt oprawiony w skórę.

- Jules Christian Stratford, 1929 - 1930, Indie - odczytał głośno. Odłożył dziennik i rzucił jej badawcze spojrzenie. - Znalazłaś coś ciekawego?

- Owszem, ale nie wiem, czy to ważna informacja. - Desiree usadowiła się wygodnie, podkuliła nogi i wygładziła bluzkę z zielonego jedwabiu, którą włożyła po obiedzie. Miała także na sobie szerokie spodnie z podobnej tkaniny. - Czytałam zapiski pradziadka z polowania, w czasie którego uratował życie synowi maharadży zaatakowanemu przez tygrysa.

- Bohaterski czyn wart wspaniałej nagrody. Za to dostał słońca?

- Także rolls - royce'a oraz tajemniczy dar, zwany „bengalskimi ogniami”.

- Ciekawe - powiedział znacząco Mathis.

- Dlatego pytałam, czy wiesz, co oznacza to określenie - wyjaśniła Desiree.

- Sądzisz, że to ważne?

Wzruszyła ramionami. Postanowiła zwierzyć mu się ze swoich wątpliwości.

- Sam nie wiem. Mój pradziadek niewiele o tym pisze. Jest tylko wzmianka o legendarnych „bengalskich ogniach”. - Desiree postanowiła zmienić temat.

- Mniejsza z tym. Są postępy w twoim śledztwie?

- Jeszcze za wcześnie, by o tym mówić. - Teraz Mathis wzruszył ramionami.

- Jakieś ciekawe odkrycie?

- Owszem, ale nie wiem, czy okaże się przydatne - powiedział z wahaniem. Desiree słyszała w jego głosie echo swoich wątpliwości. - Potrzebuję więcej danych, nim dojdę do ostatecznych wniosków.

Mathis Hazard był graczem, który nie ujawniał przedwcześnie swych atutów. Desiree uznała, że na razie nic więcej z niego nie wyciągnie. Uznała, że pora zapytać o szczegóły, które pani Hazard znać powinna.

- Pamiętasz ten nieszczęsny podwieczorek sprzed kilku dni? Wysłałam na idiotkę i o mało nie wpadłam - powiedziała szczerze. - Jako twoja żona powinnam wiedzieć o tobie dużo więcej. Przecież do czasu separacji wiele nas łączyło.

Mathis rozłożył szeroko ramiona i uśmiechnął się promiennie, czym ją natychmiast rozbroił, choć wiedziała, że robi to umyślnie.

- Moje życie jest otwartą księgą - oznajmił. - Co chcesz wiedzieć?

- Czym się zajmowałeś, nim zostałeś detektywem w firmie Hazardów?

- Tym i owym.

- Czy mógłbyś wyrażać się jaśniej?

- Imąłem się różnych zawodów.

- W takim razie spróbujmy od początku. - Desiree westchnęła ciężko. - Wiem już, że przyszedłeś na świat w Wyoming. - Mathis stanął głową. - Tam się wychowałeś, prawda?

- Tak. Do dziewiętnastego roku życia mieszkałem na ranczu dziadka.

- A rodzice?

- Matkę ledwie pamiętam. Umarła, kiedy byłem małym chłopcem. Po jej śmierci ojciec nie potrafił dojść do siebie. Próbował w życiu wszystkiego: był. żołnierzem, policjantem i tak dalej. Wychował mnie dziadek.

- A Kumpel mu pomagał. Zgadłam?

- Tak.

Desiree utwierdziła się w przekonaniu, że Mathis nie jest skory do zwierzeń.

- Mów dalej - zachęciła go jednak.

- Miałem dziewiętnaście lat, gdy opuściłem nasze ranczo. Zaciągnąłem się do wojska, służyłem w wojskowym biurze śledczym. Ukończyłem studia. Przydzielono mnie do oddziałów patrolujących granicę. Wykonywałem misje specjalne. - Desiree od razu się zorientowała, że Mathis nie chce powiedzieć, kto mu je zlecał. ale postanowiła pominąć milczeniem ten fakt. - Od czasu do czasu pomagałem Jonathanowi Hazardowi, który jest moim krewnym i prowadzi własną agencję detektywistyczną.

- Można powiedzieć, że sporo się w życiu nauczyłeś, wiele potrafisz i nic się przed tobą nie ukryje - mruknęła znacząco.

- Słuszna uwaga - odparł po chwili wahania.

- Czemu teraz zostałeś ranczerem? - spytała. Mathis wyraźnie się odprężył.

- Zrezygnowałem z czynnej służby i w pewnym sensie można mnie uznać za emeryta. Praca na ranczu wypełnia mi czas i zapewnia wysokie dochody. To moje najważniejsze zajęcie.

- Masz sporo ziemi.

- Więcej niż sądziłaś. - Mathis zachichotał.

- Omal się nie zdradziłam.
- Bez obaw! Panny Mays i Cherry Pye nie są podejrzliwe.
Z pewnością natychmiast zapomniały o twojej karygodnej pomyłce.

- Impertynent - odparta Desiree z przekąsem i zmarszczyła brwi.

- Nie miałem nic złego na myśli.

- Zdaję sobie z tego sprawę.

- Chyba nie byłeś i nie jesteś żonaty. - Desiree postawiła sprawę jasno.

- To prawda. - Popatrzył jej prosto w oczy. - Ty również nie byłaś zamężna.

Pokiwała głową i zapytała:

- Masz kogoś?

- Nie. - Oczy mu pociemniały. - Ty również nie jesteś z nikim związana.

- Sprawdzalesz mnie?

- Owszem - przyznał Mathis. - Poza tym George Huxley nie jest uosobieniem dyskrecji. Odbyłem z nim długą i ciekawą rozmowę.

- Wuj George stał się zbyt gadatliwy.

Mathis nie zaprzeczył, a Desiree natychmiast zwróciła na to uwagę.

- Jest do ciebie bardzo przywiązany.

- Ja także go lubię - odparła z westchnieniem.

- Troszczy się o twoje bezpieczeństwo.

- Dlatego cię wynajął.

- To prawda. - Oboje długo milczeli. - Mam nadzieję, że czujesz się pewniej, odkąd sypiam w sąsiednim pokoju.

Nie podejrzewała go o skłonność do żartów.

- Oczywiście - zapewniła, a po chwili dodała zakłopotana:

- Niezupełnie.

- Którą odpowiedź wybierasz? - Mathis wybuchnął śmiechem.

- Obie - stwierdziła po chwili wahania. Przysunął się bliżej i spytał:

- Trochę się mnie boisz, prawda?

- Tak - przyznała, nie mogąc oderwać wzroku od jego ust.

- W takim razie jesteśmy kwita. Czy wiesz, że ja również tracę przy tobie pewność siebie? Oboje czujemy tak samo, a więc nie jest źle, prawda?

Zaskoczył ją tym wyznaniem. Przygryzła wargę i bez słowa kiwnęła głową, a potem mruknęła:

- Chyba masz rację. - Po namyśle spytała, nie kryjąc ciekawości: - Czemu tak reagujesz na moją obecność?

Mathis odchrząknął i mimo woli napiął mięśnie.

- Bo bardzo mi się podobasz. Jestem zaskoczony. Nie powinienem się poddawać twojemu urokowi. To lekkomyślność z mojej strony. Zachowuję się jak głupiec. Pracę i życie prywatne należy starannie rozdzielić. To niepisana reguła.

- Niektórzy mówią, że reguły istnieją po to, by je łamać - odparła rezolutnie.

Mathisa ubawiły jej słowa.

- I kto to mówi!

W innych okolicznościach nie zdobyłaby się na szczerość, ale sytuacja była wyjątkowa, a mężczyzna niezwykły. Dla niego warto zaryzykować.

- Wyjątek potwierdza regułę.

- W takim razie powiedz, czemu się mnie boisz. - Mathis uznał, że pora odwrócić role,

Desiree próbowała zyskać na czasie. Sięgnęła po otwarty dziennik, zaznaczyła stronę zakładką z satynowej wstążki i odłożyła zeszyt na stolik stojący obok kanapy. Splotła ramiona

na piersi, jakby próbowała się zasłonić, i spojrzała w ciemne oczy Mathisa.

- Bardzo mi się podobasz. Nie sądziłam, że tak się to skończy. Broniałam się, ponieważ jestem zdania, że uczucia i praca nie powinny się ze sobą łączyć.

- Zmieniłaś zdanie, prawda? Obiecała sobie, że będzie z nim szczerą.

- Tak - mruknęła niechętnie.

- Ja również. Niech to jasna cholera - zaklął Mathis. Wyciągnął do niej rękę. Po chwili wahania podała mu dłoń. - To nie będzie łatwe, co? - W milczeniu pokręciła głową. Mathis nabrał pewności siebie. - Jesteśmy dorośli i nie brak nam zdrowego rozsądku. Musimy tylko wiedzieć, czego chcemy, i wszystko będzie dobrze. - Ścisnął lekko jej palce, by nabrała odwagi. - Jeśli czegoś pragniesz, mów śmiało, jeżeli coś ci nie odpowiada, powinienem o tym wiedzieć. Zgoda?

- Zgoda - powtórzyła zduszonym głosem.

- Marzę o tym, by cię pocałować. Co ty na to? - Bez pośpiechu przyciągnął ją do siebie i wziął w ramiona. Ostrożnie pogłaskał jej policzek. - Nie dotykałem nigdy równie gładkiej skóry - szepnął z zachwytem.

Desiree westchnęła głęboko.

- Domyślam się, że miałeś wiele kobiet.

- Nieprawda! Mój zawód i tryb życia sprawiały, że bardzo rzadko spotykałem kogoś odpowiedniego.

- Czy mógłbyś wyrażać się jaśniej? - Desiree nie kryła ciekawości. - Jaka kobieta jest dla ciebie odpowiednia?

ROZDZIAŁ DZIESIĄTY

To jedno z pytań, które mężczyźni słyszą od kobiet, próbujących zastawić na nich pułapkę.

Mathis odchrząknął niepewnie, szukając odpowiedzi, która pozwoli mu zyskać na czasie.

- Moim zdaniem każdy facet widzi to inaczej. - Spojrzał w ogromne, zielone oczy swojej rozmówczynie. Mimo woli napiął mięśnie, jakby szykował się do ucieczki, ale wiedział, że powinien mówić dalej.

- Chyba masz rację - odparta Desiree.

- Ta jedna jedyna powinna być uczciwa, wierna, pomocna, niezawodna i szczerze oddana. - Przyszło mu do głowy, że to za mało. Na dobrą sprawę opisał przed chwilą ukochanego psa, którego miał w dzieciństwie. Trzeba inaczej podejść do tematu.

Desiree słuchała uważnie, ale nie powiedziała ani słowa. Pokiwała tylko głową. Wyglądała ślicznie. Szyję miała długą, skórę jasną, ramiona pięknie zarysowane, intrygujący dekolt. Cienka tkanina podkreślała obiecujący kształt piersi. Mathis już miał zamiar powiedzieć, że odpowiednia kobieta powinna mieć ładny biust, ale ugryzł się w język. Taka uwaga byłaby zbyt obcesowa.

Mięśnie miał tak napięte, że rozboleły go ramiona.

Poruszył nimi nerwowo, odetchnął głęboko i powiedział:

- Mile widziana jest inteligencja, pogoda ducha, poczucie humoru i wielkoduszność.

Desiree nadal milczała. Znowu te dziwne pomruki! Nie miał pojęcia, czy się z nim zgadza, czy protestuje.

- Kobieta musi się podobać - dodał.

- Innymi słowy: powinna być piękna. Mathis energicznie pokręcił głową.

- Niekoniecznie. Wiem, że to banał, ale ładna buzia nie wystarczy. Kiedy mówię, że kobieta mi się podoba, chodzi mi

o to, że wszystko powinno być w niej ładne: figura, włosy, karnacja, głos, zapach.

- Co to znaczy: ładne?

- Miłe, przyjemne, ujmujące.

Desiree zmarszczyła brwi. Czyżby poczuła się urażona? Może pominął jakiś ważny szczegół? Zastanawiał się nad tym gorączkowo, szukając właściwych słów, ale jego wysiłki spełzły na niczym.

- Chyba wiesz, co mam na myśli, kiedy mówię, że coś w kobiecie powinno być miłe - zaczął po chwili. - To wcale nie jest takie złe określenie.

- Zapewne - odparła Desiree.

- Chciałem tylko podkreślić, że liczy się wzajemne zrozumienie i życzliwość.

Desiree zmarszczyła nos. Chyba jej nie przekonał. To do niczego nie prowadzi. Zabrnął w ślepy zaułek. Nie potrafił wyrazić słowami ukrywanych latami pragnień, choć w głębi ducha doskonale wiedział, czego chce. Rzecz w tym, że zamiast rozprawiać o cechach idealnej kandydatki na swoją partnerkę, wolał całować Desiree. Niestety, kobiety lubią rozmawiać, więc nie miał innego wyjścia. Musiał brnąć dalej.

- Ta jedyna kobieta powinna być godna zaufania i nigdy go nie zawieść.

Jego stwierdzenie wyraźnie zainteresowało Desiree. Miała to wypisane na twarzy.

- Wzajemne zaufanie to podstawa - przyznała.

- Kobiety i mężczyźni rzadko sobie ufają. Uniosła głowę i rzuciła mu badawcze spojrzenie.

- Naprawdę tak myślisz? - odparła.

Mathis przekonał się na własnej skórze, że to prawda. Niezależnie od płci ludzie niechętnie wierzą innym.

- Wymień osoby, do których masz zaufanie.

- Kumpel.

- To zrozumiałe.
- Jonathan.
- Twój kuzyn i współpracownik?
- Większość Hazardów - dodał.
- Jasne. Rodzina zwykle nas popiera.

Mathis w milczeniu pokiwał głową i zadał Desiree to samo pytanie, które przed chwilą usłyszał.

- A do kogo ty masz zaufanie?

Oblizła wargi. Kusicielka! Jej usta były tak blisko jego twarzy. Wabiły go i zachwycaly. Przyciągały jak magnes i obiecywały prawdziwą słodycz.

- Polegam na rodzicach, niewielkiej grupie przyjaciół, paru kolegach z muzeum. Jestem pewna, że wuj George nigdy mnie nie zawiedzie.

- To oczywiste.

- W konkretnych sprawach bez wahania proszę o pomoc mego lekarza, dentystę, adwokata, doradcę finansowego, księgowego, sprzątaczkę dbającą o mieszkanie. Ci ludzie troszczą się, żeby wszystko szło, jak należy, choć nie są, rzecz jasna, całkiem bezinteresowni. Chodzi o to, żeby robili, co do nich należy.

- Dobrze to ujęłaś.

- Jest kilka znanych osób, z których zdaniem bardzo się liczę. - Po chwili namysłu dodała pospiesznie: - Nie są to politycy.

Mathis zaczynał się niecierpliwić. Miał dość tej rozmowy. Nadeszła pora, by zacząć działać. Przyciągnął Desiree jeszcze bliżej i dotknął ustami jej warg.

Spełniło się jego pragnienie. Od kilku dni marzył o pocałunku. Chwilami odnosił wrażenie, że odkąd całowali się w tym gabinecie, nie potrafi się skupić i nieustannie wspomina tamte doznania.

Czemu pragnął tulić właśnie tę kobietę i pod żadnym pozorem nie wypuszczać jej z objęć?

Znał odpowiedź. W tej chwili marzył, by wziąć ją w ramiona, bo wyglądała ślicznie, cudownie pachniała i przyjemnie było jej dotknąć.

Początkowo wmawiał sobie, że nie chodzi mu wcale o to, by pójść z nią do łóżka, ale zdrowy rozsądek podpowiadał, że jeśli nie będzie się miał na baczności, sytuacja wymknie się spod kontroli. Jeśli zbyt szybko da tej kobiecie do zrozumienia, jak bardzo jej pragnie, skutki mogą być żałosne. Desiree ucieknie z krzykiem i nigdy więcej nie pozwoli, by się do niej zbliżył. Nie wolno do tego dopuścić.

Gdy wziął ją w objęcia, miał dobre intencje i nie zamierzał posuwać się za daleko. Pocałunek miał być łagodną pieśzczotą, wabikiem, zachętą. Na początek delikatne i kuszące muśnięcie warg; potem czułe westchnienie, by poczuć jej zapach.

Piekło także wybrukowane jest dobrymi intencjami!

Nim się spostrzegł, całował Desiree namiętnie i zachłannie, pieścił językiem, gryzł delikatnie jej wargi. Kiedy ją przyciągnął, trzymali się za ręce. Nie miał pojęcia, kiedy zarzuciła mu ramiona na szyję i przytuliła się do niego z całej siły.

Jeszcze przed chwilą był spokojny i rzeczowy, panował nad sytuacją, lecz niespodziewanie zaczął tracić nad sobą kontrolę. Instynktownie zdał sobie z tego sprawę. Na szczęście jego zdrowy rozsądek wciąż funkcjonował, choć umysł niemal całkowicie poddał się zmysłom. Niewiele brakowało, by zapomniał się całkowicie, pociągając za sobą Desiree.

Należało przerwać ten pocałunek. Powinien wbić sobie do głowy, że przyjechał tu, żeby pracować, a nie szukać

przyjemności. Musi to sobie często powtarzać, co z pewnością wyjdzie mu na dobre.

Popęłił niewybaczalny błąd, zastanawiając się mimo woli, co jest przyjemniejsze w dotyku: jedwabna bluzka Desiree czy jej gładki policzek. Nie może sobie wyobrazić, że przesuwa dłońmi po jej ramionach, piersiach i brzuchu. Ryzykował prawdziwą katastrofę, rozmyślając, jak Desiree wygląda, kiedy jest całkiem naga, i jakie to uczucie przykryć ją własnym ciałem na miękkiej kanapie, czuć smukłe nogi splecione za swoimi plecami, usłyszeć krzyk rozkoszy i zamknąć jej usta pocałunkiem.

Mniejsza z tym, co należy i czego nie wolno. Mathis nie dbał o to w tej chwili. Myślał tylko o aksamitnej skórze Desiree, jej pięknym i uległym ciele, o namiętności, z którą oddawała pocałunki, i śmiałych dłoniach nie szczędzących mu pieścizot.

Głaskała go ostrożnie. Opuszkami palców dotykała jego policzków, mocno zaciskała dłonie na jego barkach, jakby trzymała koło ratunkowe, przesuwała rękami po brzuchu i piersi.

Pragnął, żeby go dotykała; niech zwichrzy mu włosy, pozna je zarys uszu, podbródka i ust, przypadkiem albo umyślnie głaszcząc sutki; niech zsunie dłoń na okryte dżinsami biodra, a potem jeszcze niżej, gdzie jego męskość napierała na grubą tkaninę.

Mathis jęknął, czując, że ogarnia go trudne do opanowania pożądanie. Jeszcze chwila i zwariuje, ale sam będzie sobie winien. Zresztą Desiree także będzie miała w tym swój udział. Doprowadzała go do szaleństwa. Od początku wyczuwał pod maską chłodu jej zmysłową naturę, które przywiedzie go do zguby i skróci mu życie.

Jaki piękny koniec dla mężczyzny: skonać w ramionach pięknej kobiety! Czuł, że w jego wnętrzu płonie ogień, a żąda

goreje jasnym płomieniem, rozgrzewając każdą komórkę ciała.

Nie wolno tracić panowania nad sobą. Od lat dążył do tego, by w każdej sytuacji mieć oczy szeroko otwarte i mimo nie sprzyjających okoliczności nasłuchiwać, co się dzieje. Zawsze był czujny, stosował zasadę ograniczonego zaufania i nie zdawał się nigdy na łaskę i niełaskę innych ludzi. Nie oddał nikomu swego serca. Teraz zdawał sobie sprawę z niebezpieczeństwa, ale opamiętanie przyszło w samą porę.

Zadrzał i wypuścił Desiree z objęć.

Gdy odsunął ją trochę, podniosła głowę i spojrzała mu w oczy. Potem otworzyła usta, jakby chciała coś powiedzieć, ale nie była w stanie wykrztusić słowa. Spróbowała raz jeszcze.

- Mathis, co się stało?

- Nic - odparł z trudem.

Desiree zmarszczyła brwi. Od razu się domyślił, że jest zaniepokojona, i dodał: - To nie twoja wina.

- W takim razie o co chodzi? - wypytywała coraz bardziej zachmurzona.

Mathis uznał, że długie wyjaśnienia na nic się nie zdadzą. Odruchowo potarł dłonią kark.

- O mnie.

Desiree była poważnie zaniepokojona. Rysy jej ślicznej twarzy nagle się wyostrzyły.

- Nie rozumiem.

Mathis również był zbity z tropu.

- To nie był dobry pomysł - zaczął i od razu sobie zaprzeczył: - Chciałem powiedzieć, że nie mieliśmy złych intencji, ale chwila była nieodpowiednia. - Odetchnął głęboko i powoli wypuścił powietrze. - Postąpiliśmy niemądrze.

- Zawsze kierujesz się rozsądkiem?

Nie, do jasnej cholery! Energicznie pokręcił głową.

- Daleko mi do tego.

W takim razie czemu dziś tak bardzo mu zależało, by kierować się rozumem?

Natychmiast odpowiedział sobie na to pytanie.

Desiree nie jest kobietą, z którą mężczyzna wieczorem idzie do łóżka, a następnego ranka ukradkiem zabiera kapelusz oraz buty i znika bez pożegnania. Ta dziewczyna zasługuje na uwielbienie, podziw, zaufanie i miłość. Z taką kobietą powinien się ożenić.

Ta myśl zrobiła na nim ogromne wrażenie. Desiree jest tą jedną jedyną?! To odpowiednia kobieta. Idealnie do siebie pasują.

- Dziś jednak postanowiłeś słuchać głosu rozumu, prawda? - Desiree nie dawała za wygraną.

Mathis był z siebie dumny, gdy ostrożnie posadził ją w odległym rogu kanapy.

- Dobrze to ujęłaś.

- Nie przyszło ci do głowy, że mi to nie odpowiada? - odparta.

Czuł na sobie zagadkowe spojrzenie zielonych oczu. Zaniepokojony uniósł dłoń i w zadumie tarł policzek, na którym pojawił się już lekki zarost.

- Muszę przyznać, że nie wziąłem takiej możliwości pod uwagę.

- Dlaczego? - Przechyliła głowę na bok i zerknęła na niego badawczo.

Mógłby wyliczyć setki przyczyn. Może trochę przesadzał, ale z tuzin na pewno by znalazł.

- Jest kilka ważnych powodów.

- Mógłbyś je wymienić?

- Przede wszystkim nie należysz do osób kierujących się emocjami.

- Ty również - odparta Desiree, unosząc brwi.

- Zazwyczaj to prawda - odrzekł.

- W twojej pracy chłodna kalkulacja jest znacznie ważniejsza niż spontaniczność.

- Długo bym nie pożył, gdybym reagował spontanicznie - powiedział z naciskiem.

- A inne powody?

- Jesteś prawdziwą damą.

- Przede wszystkim jednak kobietą - wpadła mu w słowo.

- Oboje mamy rację - tłumaczył. - Siedzi przede mną inteligentna, starannie wychowana i wykształcona młoda kobieta z zasadami, która stawia sobie wysokie wymagania.

Desiree zarumieniła się i nerwowo oblizwała wargi.

- Dziękuję.

- W moich ustach to komplement.

- Tak sądziłam - odparła, ale ton głosu wskazywał, że czuje się urażona.

- Czy uważasz, że te słowa można rozumieć inaczej?

- Owszem. Jako odrzucenie.

Ach, te kobiety! Nie potrafił ich zrozumieć. Kumpel miał rację. Trudno z nimi wytrzymać, a czasami niepotrzebnie wszystko komplikują.

- Sprawa się pogmatwała, prawda? - mruknął, bezradnie rozkładając ręce.

Desiree siedziała nieruchomo i sztywno, jakby kij połknęła. Popatrzyła na niego z wyrzutem i zacisnęła wargi.

- Chyba masz rację - odparła chłodno i wyprostowała się z godnością.

- Niepotrzebnie ci się dziś narzucałem. Nie powinienem tu wchodzić. - Uśmiechnął się z rezygnacją.

- Słuszna uwaga.

- Lepiej już sobie pójdę. - Mathis wstał i ruszył ku drzwiom gabinetu.

Przystanął, trzymając dłoń na klamce. - Nie chciałem zrobić ci przykrości, Desiree.

- Wiem - odpowiedziała po chwili, chociaż widział, że nie ma ochoty odzywać się do niego.

Głos miała zmieniony, jakby lekko schrypnięty.

- Nie zapominaj, że jestem tu po to, żeby dbać o twoje bezpieczeństwo. - Przypomniawszy jej o tym, by utwierdzić się w podjętej decyzji. Musiał być silny.

- Naturalnie - zgodziła się cicho.

- W takim razie dobranoc. - Mathis wcisnął ręce w kieszenie dżinsów. Uderzenia jego serca odmierzały czas.

- Dobranoc - usłyszał wreszcie.

Wyszedł z gabinetu, zamknął za sobą drzwi i ruszył w głąb korytarza. Zdawał sobie sprawę, że w życiu często zdarzają się banalne sytuacje, a najlepszym komentarem do nich są niekiedy wyświechtane zwroty. I tak źle, i tak niedobrze. Święte słowa. Cokolwiek zrobię, i tak mi się oberwie, pomyślał.

Nadal pragnął Desiree. Czuł na wargach smak jej ust. Jego dłonie pamiętały kształt jej bioder i piersi.

Westchnął z irytacją. Czekala go długa i trudna noc.

ROZDZIAŁ JEDENASTY

Desiree nie mogła zasnąć. Próbowwała rozmaitych środków na bezsenność: ślęczała nad nudnym sprawozdaniem finansowym, odczytywała ulubione fragmenty pamiętnika swego pradziadka, stosowała techniki relaksacyjne dla rozluźnienia mięśni, medytowała, obserwując gwiazdy wymalowane na plafonie, liczyła nawet barany. Daremnie. Wszystkie sposoby zawiodły.

Było już dobrze po północy, a ona leżała z szeroko otwartymi oczyma i nic nie wskazywało na to, że sen w końcu nadejdzie.

Doskonale wiedziała, dlaczego tak się męczy. Była rozpalona i wytracona z równowagi. Mathis obudził jej uśpione zmysły, a potem odszedł i zostawił ją samą. Pragnienia pozostały nie zaspokojone. Po raz pierwszy znalazła się w takim położeniu.

Prosta sprawa! Wszystkiemu winien jest Mathis Hazard!

Nieprawda! Była" wobec niego niesprawiedliwa. Przecież nie planował uwiedzenia. Długo zwlekał, nim objął ją i pocałował. Skąd miał wiedzieć, że chłodna na co dzień Desiree od razu się rozpali, ulegnie pożądaniu, zapagnie czegoś więcej? Chciała, żeby ją pocałował, i wcale tego nie kryła. Była jego cichą współniczką.

Westchnęła ciężko. Nie można obwiniać Mathisa. Sama również nie czuła się winna. Nikt nie jest odpowiedzialny za to, co się stało. Gdy kobieta i mężczyzna odczuwają wzajemną fascynację, wszystko się może zdarzyć. Tak się dzieje od tysięcy lat, a współczesność pod tym względem niczym się nie różni od zamierzchłych czasów. Zauroczenie sprawia, że ludzie zapominają o całym świecie.

Nie zawsze. W ich przypadku mimo wszystko zwyciężył zdrowy rozsądek.

Desiree uderzyła pięścią wielką poduszkę, o którą opierała się plecami. Była dziewczyną z dobrego domu; zawsze starała się postępować właściwie i przestrzegać zasad. Kto ustalał, co wypada, a co jest niewłaściwe? Kto określał normy, którymi się w życiu kierowała? Komu to służy? Oto jest pytanie! Kto decydował, jak ma postępować? Rodzice, koledzy z muzeum, rada nadzorcza, pracownicy i mieszkańcy hotelu Stratford? Żyła tak, by znaleźć uznanie w oczach innych ludzi. A co jej dawało zadowolenie? Czego chciała? Kto był dla niej upragniony i niedostępny?

- Mathis - powiedziała z westchnieniem.

Natychmiast zasłoniła usta ręką. Jak mogła pragnąć mężczyzny, którego ledwie знаła - tęsknić za nim, marzyć i śnić, może nawet go pokochać? Przecież spotkali się dopiero przed tygodniem.

W głębi ducha wiedziała, że w sprawach serca czas nie gra roli.

Czy do głosu doszły wreszcie jej uczucia? Może naprawdę pokochała Mathisa Hazarda? Nie umiała na razie ocenić, czy to głęboka, mroczna, nieprzewidywalna namiętność, czy też przelotne zauroczenie, chwilowa miłość, krótki romans albo prymitywna żądza.

Mathis Hazard nie posiadał żadnej z cech, które sprawiały, że mężczyzna robił na niej wrażenie i budził ciekawość, a mimo to od razu stał się bohaterem jej snów i obiektem czułych westchnień.

To prawda, że jest szorstki, uparty i zawzięty. Kiedy z nim dyskutowała, wydawało jej się, że uderza głową w mur.

Miał jednak swoje atuty. Był wysoki, ciemnowłosy i wyjątkowo przystojny. Jego oczy spoglądały bystro, umysł pracował na najwyższych obrotach, szeroki uśmiech rozbroiłby każdego. A postura? Desiree nie znała się na

męskiej anatomii, ale wiedziała, że pod ubraniem Mathis ukrywa wspaniałe ciało.

Chętnie by mu się przyjrzała.

Z ciężkim westchnieniem podsumowała swoje przemyślenia. Natura hojnie obdarzyła Mathisa; był urodziwy, mądry, odważny. To człowiek honoru, dżentelmen w każdym calu, niczym jej pradziadek, który zawsze miał na względzie wszystko, co raz uznał za ważne: dobro ojczyzny, swoją dumę i poczucie honoru, dane słowo, grono najbliższych, rodzinę, żonę.

Desiree się rozmarzyła.

Żona! Zgodnie z planem wuja Mathis i ona mieli udawać małżeństwo. Niechętnie przyjęła tę rolę. Początkowo irytowała się, gdy mieszkańcy i pracownicy hotelu nazywali ją panią Hazard. Nawet dyrektor Rashid Modi tak się do niej zwracał. Szybko jednak do tego przywykła i teraz uśmiechała się na myśl, że uchodzi za mężatkę. Doszła do wniosku, że zmiana nazwiska nie jest wcale taka przykra.

Skarciła się w duchu. Dość tych bzdur! Nic się nie zmieniło. Mathis Hazard nie jest mężem Desiree Stratford, młodej kobiety stanu wolnego, która nie ma nikogo na stałe i żyje sama jak palec. Takie osoby uchodzą w towarzystwie za stare panny.

Ponownie zaczęła boksować niewinne poduszki.

Niech to diabli! Krótkie podsumowanie obecnej sytuacji nie wypadło korzystnie. Po pierwsze, najprzystojniejszy ze znajomych, który na domiar złego ogromnie ją pociągał, niedawno wyszedł w krytycznym momencie, zostawiając ją na pastwę żądzy. Po drugie, od kilku godzin daremnie czekała, aż ogarnie ją senność. Po trzecie, właśnie zdała sobie sprawę, że jest starą panną.

Gdyby miała skłonność do alkoholu, sięgnęłaby do barku po mocny trunek i zalała się w pestkę, by zapomnieć o

smutkach, ale wizja kobiety pijącej do lustra nigdy jej nie pociągała.

Najlepszym lekarstwem na wszystkie troski jest szklanka ciepłego mleka. Tak zgodnie twierdziła cała jej rodzina. Desiree nie próbowała dotąd leczyć mlekiem bezsenności, ale w dzieciństwie było ono remedium na wszelkie kłopoty.

Jak przez mgłę pamiętała swoją prababcię, uroczą damę o śnieżnobiałych włosach pachnących bzem, która przynosiła jej do łóżka szklankę ciepłego napoju. Desiree miała wtedy najwyżej sześć lat i zajmowała ten sam pokój, co teraz.

To jedno z nielicznych wspomnień o prababci, jakie zachowała w pamięci. Pradziadek, aż po kres swego życia, chętnie i często opowiadał o ukochanej Grace.

Desiree przypomniała sobie nagle słowa małżeńskiej przysięgi: Póki śmierć nas nie rozłączy.

Czy taka miłość na dobre i złe może połączyć kobietę i mężczyznę w świecie, gdzie zmienność jest prawem? Może dlatego nie było spieszno jej do zamążpójścia. W głębi ducha pragnęła miłości, która nigdy się nie skończy, da pewność i poczucie bezpieczeństwa.

Rozważanie fundamentalnych praw rządzących ludzkim życiem nie może być lekiem na bezsenność, skarciła się surowo.

- Chyba wypiję szklankę ciepłego mleka. Terapia jest prosta i podobno skuteczna - powiedziała na głos.

Zdecydowanym ruchem odrzuciła kołdrę, zapaliła nocną lampkę, sięgnęła po szlafrok z purpurowego jedwabiu i narzuciła go na piżamę uszytą z tego samego materiału w podobnym kolorze. Pospiesznie znalazła kapcie i podbiegła do drzwi.

Otworzyła je i ukradkiem zerknęła ku sąsiedniej sypialni. Czy w łazience jest nieco jaśniej niż zwykle? To by oznaczało, że u Mathisa pali się jeszcze światło. Zapewne i on nie może

zasnąć. Dobrze mu tak! Wybiegła do korytarza i ruszyła w stronę windy.

Sporo czasu minęło, nim dotarła do hotelowej kuchni. Sądziła, że będzie tam po dziesięciu minutach, ale w półmroku wszystkie korytarze i przejścia wydawały się dłuższe niż za dnia. Desiree wmawiała sobie, że pełznąca w ślimaczym tempie winda ma staroświecki wdzięk, ale w środku nocy tego rodzaju argumenty w ogóle do niej nie trafiały, zwłaszcza że była w tej wiekowej kabinie całkiem sama, a w hotelu działały się ostatnio dziwne rzeczy. Nie pomyślała o tym, gdy postanowiła zjechać na dół. Trudno, stało się; na razie nie ma powodów do niepokoju.

Gdy znalazła się w kuchni, około kwadransa zabrało jej odszukanie mleka w kartoniku, odpowiedniego rondelka i dużego kubka. W końcu zapaliła płomyk kuchenki gazowej i zabrała się do podgrzewania. Na kuchennym blacie stała wprawdzie mikrofalówka, ale Desiree nie sądziła, by przygotowane w niej mleko zachowało lecznicze właściwości. Tej nocy zamierzała postępować ściśle według receptury prababci.

Była zniecierpliwiona. Nim na powierzchni mleka zaczęły pojawiać się bąbelki, z irytacją tupiała nogą.

Do tej pory nie zdawała sobie sprawy, ile zakątków, kryjówek i mrocznych nisz można dostrzec w półmroku hotelowej kuchni oświetlonej jedynie słabą lampką. Sprzęty i naczynia wydawały się większe niż w świetle dnia. Stukot miedzianych rondli i pokrywek rozlegał się głośnym echem w ogromnym pomieszczeniu. Łyżka zgrzytnęła jęklonie, gdy podczas mieszania dotknęła ścianek naczynia. Nawet bulgot mleka przelewanego do kubka brzmiał podejrzanie.

Nareszcie! Desiree wypiła ostrożnie łyk gorącego napoju i bardzo się rozczarowała. Mleko, które przynosiła jej

prababcia, miało tajemniczy posmak, którego teraz nie wyczuwała. Pewnie sprawiły to jakieś zaklęcia.

Desiree wstawiła ronderek do zlewu i napełniła go wodą. Sprawdziła, czy kurki kuchenki gazowej są zakręcone, potem zgasiła światło i ruszyła do wyjścia. Ostrożnie niosła kubek z mlekiem, idąc wolno korytarzem prowadzącym do windy.

Tego popołudnia miejskie towarzystwo ochrony zabytków zaproponowało, że pokryje część kosztów renowacji budynku. Ciekawe, czy konserwator wyrazi zgodę na zamontowanie nowoczesnych wind. Czas pokaże! Teraz czekała ją długa i powolna jazda na czwarte piętro. Ile czasu zajmie powrót do sypialni? Jak tak dalej pójdzie, cała wyprawa potrwa blisko godzinę. Desiree raz i drugi nacisnęła guzik. Drzwi nadal były zamknięte, więc postanowiła uzbroić się w cierpliwość. Ciekawe, kto jej zabrał windę sprzed nosa o tak późnej porze. Duch? Tajemniczy lunatyk? Tylko spokojnie! Wypiła łyk letniego mleka. W tej samej chwili kabina otworzyła się z jękiem. Desiree wsiadła, nacisnęła czwórkę, a winda opieszale niczym żółw ruszyła w górę.

- Szybciej, no, szybciej - niecierpliwiła się Desiree, jakby sądziła, że mechanizm zareaguje na jej słowa. Tempo było tak wolne, że miała wrażenie, iż winda stoi.

Ogarnął ją niepokój. Podświadomie wyczuła, że dzieje się coś niedobrego. Wystarczyło kilka sekund, by pojęła, że pierwsze wrażenie nie było mylące.

Kabina stanęła.

Najwyraźniej utknęła między piętrami. Wskazówka nad wejściem zatrzymała się przed czwórką.

Desiree ponownie nacisnęła guzik. Żadnej reakcji. Spróbowała raz jeszcze - i znowu nic. Próba uruchomienia windy innym przyciskiem także nie przyniosła rezultatu.

- Mam dziś pecha - mruknęła ponuro. Najpierw została przywołana do porządku przez mężczyznę, w którym

prawdopodobnie się zakochała. Unikała słowa „odrzuć”, bo na sam jego dźwięk zbierało jej się na płacz. Gdy położyła się do łóżka, by odpocząć po trudnym dniu, nie mogła zasnąć. Ciepłe mleko, które miało być lekiem na bezsenność, właśnie stygnie. Na domiar złego wiele wskazuje na to, że tę noc przyjdzie jej spędzić w zepsutej windzie.

Jak pech, to pech! Zapewne przesiedzi tu kilka godzin, nim personel zorientuje się, że kabina jest nieczynna, a właścicielka hotelu zniknęła. Może skojarzą fakty i szybko ją stąd wyciągną. Kumpel to ranny ptaszek, a Rashid Modi zawsze punktualnie rozpoczyna urzędowanie.

- Ciekawe, co się zepsuło? - mruknęła z irytacją. Po chwili doszła do wniosku, że złośliwy los uznał jej słowa za arogancką wymówkę i zemścił się paskudnie.

Lampy zamontowane w windzie przygasły kilkakrotnie. Wystraszona Desiree z trudem chwyciła powietrze. Trzeba zachować spokój. Ledwie to sobie powiedziała, światło zgasło i ogarnął ją mrok.

- Ratunku! - pisnęła słabym głosem.

W windzie było tak ciemno, że nie widziała swojej dłoni. Po omacku nacisnęła alarm. Daremnie. Panel sterowniczy przestał funkcjonować.

Desiree powtarzała sobie, że nie ma powodu do obaw. W dzieciństwie bała się ciemności, ale nie jest przecież małą dziewczynką. Dorosłe kobiety nie wpadają w panikę tylko dlatego, że gaśnie światło w tkwiącej między piętrami windzie. Było trochę duszno, ale kabina nie jest przecież hermetyczna, więc śmierć z braku powietrza nikomu tu nie grozi.

Desiree czuła, że ręka, w której trzyma kubek, lekko drży.

- Nie boję się ciemności - mamrotała. - To brak światła, nic więcej. - Uspokoila się, słysząc własny głos. Zaczęła podśpiewywać, żeby nabrać otuchy. Recytowała biblijne

wersy mówiące o świetle i ciemności. To jej podsunęło ciekawą myśl.

Skoro każdy człowiek ma w sercu własne światło, zatem kabina nie jest wcale taka mroczna, jakby się z pozoru wydawało. Desiree miała wrażenie, że dostrzega nikiłe zarysy: tu panel sterowniczy, tam lampy, wskazówka nad wejściem.

Trzeba myśleć o przyjemnościach! Choćby o Mathisie. Jest taki przystojny, odważny, upragniony!

Śmiało wyciągnęła rękę i kolejno naciskała guziki. Nic z tego. Żadnego ruchu, błysku; żadnej reakcji. Sytuacja jak z marnej komedii. Naprawdę przyjdzie jej spędzić noc w unieruchomionej windzie. Cóż robić, wypadki chodzą po ludziach. Mogło być gorzej.

Czy to przypadkowa awaria i fatalny zbieg okoliczności? A może ktoś celowo uszkodził mechanizm? Winda była stara i powolna, lecz w ubiegłym miesiącu ekipa remontowa zapewniła, że urządzenia są sprawne i będą działać jeszcze przez wiele lat, nie stanowiąc najmniejszego zagrożenia dla gości hotelu Stratford.

Desiree znów odetchnęła głęboko, żeby się uspokoić. Bez obaw. Nie ma powodów do niepokoju. W tej kabinie nic jej nie grozi. Trzeba pamiętać, że strach ma wielkie oczy. Wszystko dobrze się skończy.

Ciekawe, skąd ta pewność?

Dopiła mleko, postawiła na podłodze pusty kubek i objęła się ciasno ramionami. Czułaby się pewniej i bezpieczniej, gdyby był tu z nią Mathis. Z pewnością nie myślałaby wówczas o pechu i ciemnościach.

- Mathis! - wypowiedziała głośno jego imię, by dodać sobie odwagi.

Na pewno Mathis od dawna leży w łóżku. Ciekawe, czy już śpi. Może widzi ją w snach? Czy wyobraża sobie, że są

razem, tylko we dwoje? Zapewne śni, że nadzy i przytuleni
całują się i dotykają czule, a potem kochają się jak szaleni.

Desiree potarła dłońmi ramiona.

Czekała ją długa, samotna noc.

ROZDZIAŁ DWUNASTY

Udało się za trzecim razem. W zagraconym składziku na czwartym piętrze, niedaleko rodzinnych apartamentów Mathis znalazł tajne przejście. Otworzył drzwi, rozejrzał się ostrożnie i wszedł do wąskiego korytarza, ciągnącego się po obu stronach. Postanowił iść w lewo.

Miał na sobie czarną bluzę i ciemne dżinsy i był prawie niewidoczny. W lekkich mokasynach poruszał się bezszelestnie. Mógł teraz wykorzystać umiejętności zdobyte podczas służby wojskowej.

Miał coraz więcej dowodów na to, że sprawcą tajemniczych wydarzeń, które mnożyły się ostatnio w hotelu, był ktoś z jego mieszkańców lub pracowników. Taką hipotezę postawił w czasie pierwszej rozmowy George Huxley; jego domysły zapewne się potwierdzą.

Mathis nie wspomniał Desiree o swoich podejrzeniach, bo nie chciał jej przedwcześnie niepokoić. Długie godziny spędził nad planami hotelu i ustalił ponad wszelką wątpliwość, że czegoś na nich brakuje. Powierzchnia użytkowa pomieszczeń czwartego piętra uwzględniona na planie była wyraźnie zaniżona. Cudów nie ma, a budynki się nie kurczą. Mathis postanowił odnaleźć brakujące metry kwadratowe. Spodziewał się, że trafi na ukryte pomieszczenia.

Nasuwało mu się teraz mnóstwo pytań. Kiedy powstał korytarz? Kto go zbudował? Po co istniało tajne przejście? Chętnie usłyszałby odpowiedzi. Jego zdaniem tajne przejście zostało zbudowane w czasach prohibicji, gdy nielegalnie handlowano alkoholem. Korytarz prowadził zapewne do lokalu dla wtajemniczonych, którzy bawili się przy dźwiękach charlestona.

Ciekawe, dokąd mnie zaprowadzi to przejście, myślał, biegnąc pochylony. Dwadzieścia metrów dalej natknął się na kolejne drzwi. Uchylił je bezszelestnie i w szparze ujrzał

zapaloną nocną lampkę oświetlającą stół umieszczony w rogu pokoju o wymiarach sporej garderoby. Wszedł do środka. Pod ścianą stało wąskie, starannie zasłane łóżko. Na stoliku piętrzyły się gazety i czasopisma. Ubrania rozwieszono na gwoździach wbitych w deskę. W pokoiku panował idealny porządek; sprzęty i odzież były zużyte, ale czyste.

Czyżby ktoś tu mieszkał? Czemu się ukrywa?

Naprzeciwko drzwi wisiał kalendarz na bieżący rok. Ktoś skreślał daty, stawiając czerwonym flamastrem duży znak X. Na stoliku pozostał kubek z odrobiną kawy i talerz z reszkami posiłku.

Mathis przypomniał sobie rozmowę z Kumplem, który twierdził, że z kuchni systematycznie ginie żywność. Teraz wszystko się wyjaśniło. W hotelu Stratford mieszka dziki lokator!

Trzeba przeszukać drugą część korytarza. Mathis starannie zamknął za sobą drzwi i kocim krokiem pobiegł w przeciwną stronę. Trzydzieści metrów od tajnego przejścia natknął się na ścianę. Przystanął i z zadumą potarł dłonią kark. Gdy przesunął dłonią po murze, wyczuł dwa otwory. Ktoś się bawił w podglądacza.

Mathis przykucnął i spojrzał przez dziury. Zamrugał powiekami, by przyzwyczaić oczy do osobliwej perspektywy. Wkrótce zorientował się, że widzi część gabinetu Julesa Christiana Stratforda. Otwory zostały prawdopodobnie umieszczone tak, by wtapiały się we wzór tapety.

Stąd tajemniczy lokator obserwował jego i Desiree, gdy przyszli do gabinetu, by obejrzeć list i sztylet. Odnieśli wrażenie, że zza ściany ktoś się im przygląda.

Czy pułkownik Stratford wiedział o istnieniu korytarza i wizjerów? Raczej nie, uznał po namyśle Mathis. Z licznych relacji wynika, że był człowiekiem szczerym i prostolinijnym. Ktoś zapewne knuł coś złego za jego plecami. Na szczęście

ukryty korytarz był krótki i nie można było dojść nim do ich pokoi, a zatem mogli z Desiree spać spokojnie, jako że nie byli podglądani.

Dość odkryć jak na jedną noc, pomyślał Mathis. Cicho wrócił do sekretnego przejścia, zamknął je starannie i pobiegł korytarzem do sypialni. Trzeba się przespać. Do świtu pozostało zaledwie parę godzin.

Drzwi do pokoju Desiree były otwarte. W środku paliło się światło. Przystanął i zawahał się. Co robić? Dziś wieczorem opuścił ją i wyszedł, gdy poczuł, że traci panowanie nad sobą, którym tak bardzo się chlubił. Drugi raz pewnie się na to nie zdobędzie.

Mniejsza z tym. Trzeba sprawdzić, czy wszystko w porządku. Chodzi przede wszystkim o jej bezpieczeństwo.

Zapukał do drzwi, ale nikt się nie odezwał.

- Desiree, jesteś tam?

Cisza. Otworzył szerzej drzwi i stanął na progu. Zapalona nocna lampka, puste łóżko. Desiree zniknęła! Zegar stojący na kominku wskazywał drugą. Gdzie ta dziewczyna włóczy się w środku nocy?

Zajrzał do łazienki, a także do swojej sypialni. Na wszelki wypadek. Potem ruszył w głąb korytarza, sprawdzając po drodze wszystkie pomieszczenia, ale nie znalazł Desiree. Miał złe przeczucia.

Był wściekły. O tej porze powinna leżeć w łóżku pogrążona w głębokim śnie. Mogłaby nocować u niego. Przynajmniej miałby na nią oko.

- Cholera jasna! - klął raz po raz, biegnąc w stronę windy.

Nacisnął guzik. Żadnej reakcji. Spróbował raz jeszcze. Zerknął przez kratownicę w głąb szybu windy i ujrzał kabinę zawieszoną na granicy czwartego piętra. Był pewien, że Desiree jest w windzie.

Daremnie próbował gołymi rękami otworzyć kratę. Musiał ją czymś podważyć. W samą porę przypomniał sobie o składziku ze sprzętem ekipy sprzątającej. Była tam również skrzynka z narzędziami. Po chwili był znów przy kratownicy. Otworzył ją, używając szczotki z metalowym drążkiem. W kieszeni miał duży śrubokręt.

Włączył latarkę i oświetlił szyb windy. Kabina utknęła półtora metra niżej. Osłonił usta dłońmi, by wzmocnić głos, i zawołał:

- Desiree! Jesteś tam?

Usłyszał stłumione dźwięki, ale nie był pewny, kto woła. Postanowił zejść na dół. Wsunął latarkę i śrubokręt do tylnych kieszeni dzinsów, odwrócił się i ściskając rękoma próg, zsunął się w głąb szybu. Wymacał stopami dach kabiny i zeskoczył lekko. Sięgnął po latarkę i pośpiesznie ocenił sytuację. Zobaczył klapę o szerokości mniej więcej pół metra przymocowaną masywnymi śrubami. Odkręcił je w mgnieniu oka i zajrzał do ciemnej kabiny.

- Desiree?

- Mathis, to naprawdę ty? - usłyszał jej głos.

Odetchnęła z ulgą.

- We własnej osobie - odparł uradowany, a potem dodał: - Jak się czujesz?

- Wszystko w porządku - odparła, nadrabiając miną. Była wystraszona i bardzo zmęczona. - Ta cholerna winda stanęła między piętrami.

- Nie da się ukryć. - Mathis oświetlił latarką wnętrze kabiny. Desiree stała pod otworem w dachu. - Zaraz cię stamtąd wydostanę.

- Cudownie! - ucieszyła się jak dziecko. - A kiedy?

- Lada chwila.

- Jak?

- Wyciągnę ręce, ty je chwycisz i wciągnę cię na dach kabiny.

- To się nie uda. Jestem za gruba. - Desiree spochmurniała.

Mathis ukląkł nad otworem.

- Ile ważysz?

- Sześćdziesiąt siedem kilogramów - odparła po chwili wahania.

- Dam sobie radę - zapewnił. - Muszę odłożyć latarkę, więc stań pod klapą. Na mój sygnał unieś ramiona do góry. Wszystko jasne?

- Jasne - powtórzyła jak echo.

- Będę liczyć do trzech - dodał. - Raz, dwa, trzy. Teraz!

Desiree uniosła ramiona, Mathis chwycił ją za ręce i podciągnął ostrożnie. Po chwili stanęła obok niego na dachu windy.

- Trzeba się stąd wydostać. To nie jest bezpieczne miejsce. Winda może ruszyć w każdej chwili. Podsadzę cię.

Desiree w milczeniu skinęła głową. Mathis asekurował ją podczas krótkiej wspinaczki. Gdy znalazła się w korytarzu, błyskawicznie opuścił szyb. Dopiero teraz spostrzegła, że jego bluza jest mokra od potu, ale nie zważając na to, objęła go mocno i przytuliła twarz do szerokiej piersi.

- Słyszę bicie twego serca - powiedziała cicho. - Moje też kołacze szybciej niż zwykle.

Mathis objął ją mocno, pogładził po plecach i pocałował w czoło. Wtulił twarz w jej włosy i szeptał czułe słowa niosące ukojenie. Dużo czasu minęło, nim Desiree podniosła głowę i powiedziała cicho:

- Dziękuję.

- Zawsze do usług - odparł z uśmiechem.

- Obawiałam się, że przesiedzę w ciemności całą noc. - Przebiegł ją dreszcz. - Jak się domyśliłeś, gdzie jestem?

Przez chwilę Mathis myślał o zdarzeniach dzisiejszej nocy. Uznał, że o sekretnym przejściu biegnącym wzdłuż szczytowej ściany hotelu powie Desiree przy innej sposobności.

- Zdziwiło mnie, że drzwi twojej sypialni są otwarte - odparł rzeczowo. - Wolałem, zajrzałem nawet do środka, ale ciebie tam nie było. Zacząłem cię szukać, a potem spostrzegłem windę tkwiącą między piętrami.

- Rozumiem, metoda dedukcji.

- To podstawa - wpadł jej w słowo i spytał z groźną miną:
- Czemu włóczyłaś się po hotelu w środku nocy?

- Nie mogłam zasnąć. Postanowiłam napić się ciepłego mleka, więc zjechałam na parter, do kuchni. Wiesz już, co było dalej.

Nie zamierzał wypytywać, czy Desiree podejrzewa, że mechanizm został uszkodzony. To by ją całkiem wytrąciło z równowagi. Rano sam dokona oględzin.

- Trzeba się przespać - oznajmił stanowczo, prowadząc Desiree w kierunku sypialni.

Postanowił osobiście otulić ją kołdrą i dopilnować, żeby do rana nie urządzała żadnych wycieczek.

Stanęli przed uchylonymi drzwiami.

- Bardzo się napracowałeś, wyciągając mnie z windy.

- Drobnostka.

- Twoja bluza jest wilgotna - oznajmiła całkiem niepotrzebnie.

- Owszem.

- Powinieneś ją zdjąć. - Spojrzała na niego szeroko otwartymi oczyma.

Malowała się w nich całkowita niewinność.

- Twoje życzenie jest dla mnie rozkazem. - Mathis ściągnął bluzę, zwinął ją w kulę i cisnął przez otwarte drzwi swego pokoju.

Nadal czuł na sobie badawcze spojrzenie zielonych oczu.

- Nie chcę być sama - powiedziała Desiree.

Mathis westchnął głęboko i zapytał:

- Co próbujesz dać mi do zrozumienia?

- Proszę, żebyś został u mnie do rana - odparła po chwili wahania.

- Wiesz, czym to się skończy? - Uznał, że musi ją ostrzec.

- Wiem - odparła bez cienia wątpliwości.

- Jesteś pewna, że tego chcesz? - Serce zabiło mu mocniej.

- Tak.

Gdy weszli do jej sypialni, starannie zamknął drzwi.

ROZDZIAŁ TRZYNASTY

Nie czuła strachu. Skąd u niej tyle odwagi? To chyba oczywiste: we właściwym czasie i miejscu spotkała odpowiedniego mężczyznę. Dobięła trzydziestki i nareszcie wiedziała, czego pragnie. Marzyła o tym, by kochać się z Mathisem Hazardem.

- Twój szlafrok - powiedział cicho, gdy zamknął drzwi. Patrzył na nią uważnie ciemnymi oczyma. Desiree zerknęła na cienką jedwabną tkaninę, która z przodu była trochę wilgotna, - Nie powinienem tulić cię tak mocno. Byłem mokry. Chyba powinnaś się rozebrać.

- Twoje życzenie jest dla mnie rozkazem - odparła rezolutnie. Powoli rozwiązała pasek, zdjęła szlafrok i cisnęła go na krzesło stojące obok toaletki.

- Jesteś zakłopotana? - spytał, patrząc jej w oczy. Desiree pokiwała głową.

- A ty?

On również odpowiedział skinieniem głowy.

- Boisz się?

Milczał przez chwilę, a potem wyznał szczerze:

- Ja od dawna z żadną...

- Ja również - wpadła mu w słowo. - Jest więc nas dwoje.

Damy sobie radę.

- Skoro brak nam doświadczenia, razem możemy się wiele nauczyć - stwierdził Mathis. Desiree bardzo się podobało takie podejście do sprawy. Mathis potarł dłonią kark, a ona już się zorientowała, że machinalnie wykonuje ten gest, kiedy się nad czymś zastanawia.

- Obawiam się, że na początku będę popełniać mnóstwo błędów - uprzedziła, chichocząc nerwowo. - Obiecuj, że nie stracisz cierpliwości.

- Masz na to moje słowo - oznajmił Mathis uroczyście. - Zresztą trudno tu mówić o błędach. Znajdziemy własną drogę

i będziemy się kochać, jak nam się podoba - dodał z uśmiechem. - Zasada numer jeden: dużo czułości i żadnego pośpiechu, zgoda?

- Doskonale.

- Pamiętasz naszą wieczorną rozmowę? Powiedziałem, że jesteśmy dorośli, ale każde z nas może zmienić zdanie. To żaden wstyd. Co ty na to?

- Obstaję przy swoim.

- Ja również - odparł, zdejmując mokasyny. Desiree zrzuciła kapcie.

- Co dalej? - spytała.

- Dżinsy - mruknął. Zdjął je wolniutko, z łobuzerskim uśmiechem patrząc jej w oczy. Gdy stanął przed nią w samej bieliźnie, zmierzyła go taksującym spojrzeniem. Było na co popatrzeć: szerokie bary, muskularne ramiona, wąska talia, długie nogi. Przekonała się naocznie, jak bardzo podnieca go jej nie ukrywany zachwyty.

- Muszę przyznać, że ci nie dowierzałam.

- O czym mówisz? - zapytał, nieco zbity z tropu.

- Wspomniałeś, że u was na Zachodzie wszystko jest większe - odparła, ukradkiem zerkając w dół.

Mathis odrzucił głowę do tyłu i parsknął śmiechem.

- Cieszę się, że jesteś zadowolona.

- Tego nie powiedziałam.

- Masz jakieś obiekcje?

- Nie wiem - odparła. - Na razie nie chcę się wypowiadać w tej materii. - To dla mnie... spore zaskoczenie.

- Rozumiem. Jesteś zdumiona?

- Owszem, dobrze to ująłeś.

- Zaciekawiona?

- Naturalnie.

- Pełna podziwu?

Teraz Desiree roześmiała się z radości. Śmiech pasował do sytuacji i dodawał jej pikanterii. Oboje cieszyli się, że są i będą razem. Desiree nie sądziła dotąd, że kochankowie mogą śmiać się do łez. Była pewna, że miłosnym spotkaniom towarzyszy niepewność i wstyd, które trudno pokonać.

- Rozśmieszylesz mnie - rzuciła oskarżycielskim tonem, choć w jej zielonych oczach tańczyły wesołe iskierki.

- Pokornie błagam o przebaczenie. To nie było moim zamiarem - kajał się, chichocząc ukradkiem.

- Nic nie szkodzi. Śmiech to zdrowie - odparła wielkodusznie. - Dodaje smaku. Jest taki...

- Podniecający? - wpadł jej w słowo i uniósł brwi. Desiree poczuła, że się rumieni. - Na czym skończyliśmy? Co dalej?

- Spodnie od pizamy - odparł tonem nie znoszącym sprzeciwu. Kiedy je zdjęła, wydał jęk zawodu. - To nie fair! - zawołał, ponieważ bluza zasłaniała jej uda.

- Na wojnie i w miłości wszystkie chwytysą dozwolone - zacytowała sentencję, którą niedawno sobie przypomniała.

- Ja wolę nagą prawdę - odparł Mathis. - Pora odsłonić wszystko.

- Może policzymy do trzech? - zaproponowała, by zyskać na czasie.

Zgodził się i wziął to na siebie. Gdy skończył liczyć, oboje byli nadzy i patrzyli na siebie z zachwytem.

- Wyglądasz... wspaniale - zawołała.

- Jesteś uosobieniem piękna - odparł.

- Mogę cię tam... dotknąć? - Podeszła bliżej i wyciągnęła rękę.

- Rób wszystko, na co masz ochotę, moja śliczna - powiedział zdławionym głosem.

- To niepojęte - mruknęła, tuląc się do niego. - Cały drżysz.

- Owszem.

- Czemu?

- Ponieważ nigdy dotąd nie pragnąłem tak żadnej kobiety. Ledwie nad sobą panuję. Wiesz, czemu odszedłem dziś wieczorem?

- Bo nie chciałeś się ze mną kochać - odparła z wyrzutem.

- Przeciwnie! Marzyłem o tym. Pragnąłem cię... jak szalencie, ale bałem się, że przestanę panować nad sytuacją.

- Oboje się tego obawiamy, prawda? - Popatrzyła mu w oczy. Pokiwał głową i dodał:

- Podczas miłostnego aktu trzeba się zatracić bez reszty, a to oznacza wielkie zaufanie. Pamiętasz naszą rozmowę? Mimo szumnych deklaracji oboje jesteśmy nieufni.

- I ostrożni.

- Bardzo słusznie.

- Wyjątkowi?

- Święte słowa!

- W naszych czasach wszystko zmienia się tak szybko, że mało kto czuje się zobowiązany, by dotrzymywać słowa - powiedziała zasmucona Desiree.

- Zaufasz mi? - spytał cicho.

- Tak.

Uniósł dłoń i musnął jej policzek, szyję, a potem dotknął piersi. Zadrżała w jego ramionach.

- Zimno ci? - spytał, patrząc jej w oczy.

- Ogrzej mnie - poprosiła.

Pochylił głowę i objął wargami jej pierś. Westchnęła rozkosznie.

- Ciepłej? - dopytywał się, przesuwając nieco głowę, by powtórzyć pieszczotę.

- Jestem rozpalona - szepnęła Desiree. Czowała jego zachłanne wargi na całym ciele. Całował każdy skrawek jej skóry. Nie była w stanie oddychać, a kolana się pod nią ugięły.

Mathis wziął ją w ramiona, zaniósł do łóżka i przykrył własnym ciałem. Wszedł w nią ostrożnie, potem śmieiej. Nie spieszył się, nie żałował czułych słów i pieszczot, a zarazem był silny i nieustępliwy, aż oboje osiągnęli najwyższą rozkosz. Czas stanął w miejscu, a świat przestał istnieć, gdy trwali w miłosnym uniesieniu.

- Desiree, moja słodka Desiree - powtarzał Mathis, jakby to było magiczne zaklęcie. Szeptala z zachwytem jego imię. Przy ukochanym niczego się nie bała.

Skąd ten lęk? Nie mam powodu do obaw, więc czemu odczuwam strach, zastanawiał się Mathis Hazard.

Po chwili znalazł odpowiedź. We właściwym czasie i miejscu pojawiła się odpowiednia kobieta. Złakł się, bo pragnął Desiree, nie mógł bez niej żyć, chciał ją mieć na zawsze.

Kumpel stale powtarzał, że z kobietami trudno wytrzymać. Mathis upewnił się, że nie potrafi żyć bez swojej ukochanej.

Do tej pory był samotnikiem, żył bez zobowiązań i ufał tylko sobie. Popatrzył na Desiree i doszedł do wniosku, że ma dość takiej egzystencji. Chciał się z nią wszystkim podzielić. Czy dlatego ogarnął go strach?

Długo odpoczywali, patrząc na sufit usiany gwiazdami.

- Trochę się przestraszyłeś, co? - spytała Desiree z uśmiechem.

W milczeniu popatrzył jej w oczy, a potem znów podniósł wzrok. Coś mu nie dawało spokoju, ale nie potrafił ubrać w słowa natrętnej myśli.

- Czego się dowiedziałaś na temat bengalskich ogni? - Był pewny, że Desiree nie będzie miała mu za złe nagłej zmiany tematu. Rozumieli się bez słów. Przytoczyła słownikową definicję.

- Czy pamiętasz ulubione powiedzenie, opowieść albo cytaty pradziadka?

- Chętnie przytaczał fragment z Biblii, w którym mowa o skarbach zgromadzonych w niebie. To bardzo górnolotne i piękne słowa. Zawsze mi powtarzał, że powinnam spoglądać na gwiazdy i tam szukać odpowiedzi - wspominała Desiree.

- Ciekawe. - Mathis nie potrafił jeszcze powiązać tych informacji, ale czuł, że jest na właściwym tropie.

- Patrzysz na plafon. Szukasz odpowiedzi wśród gwiazd?

- Twoje oczy są jak najjaśniejsze gwiazdy - odparł z uwodzicielskim uśmiechem.

Oparł się na łokciu i pocałował ją czule. Desiree wybuchnęła śmiechem. Z rozkoszą wsłuchiwał się w ten cudowny dźwięk.

- To prawda. Wkrótce ci o tym opowiem. Wiesz, gdzie jest niebo? W twoich ramionach. - Przetoczył się na plecy, pociągając ją za sobą.

Desiree ułożyła się wygodnie, a gdy mocno do siebie przyłgnęli, Mathis uznał, że zagadka bengalskich ogni może trochę poczekać.

ROZDZIAŁ CZTERNASTY

- Twierdzisz, że pradziadek nie mówił tego w przerośni?
- spytała z niedowierzaniem Desiree, wkładając piżamę.

Mathis sięgnął po leżące na podłodze dzinsy.

- Oczywiście, mój skarbie. Zachęcał cię, żebyś patrzyła w gwiazdy. Moim zdaniem, nie mówił wcale o chodzeniu z głową w chmurach i wysokich aspiracjach.

- W takim razie do czego zmierzał?

- Sądzę, że miał na myśli gwiazdy wymalowane na suficie ponad twoim łóżkiem - odparł zagadkowo Mathis.

- Czemu nie powiedział wprost, w czym rzecz? - W głowie Desiree panował kompletny zamęt.

Mathis znacząco unióśł brwi i zapytał:

- Ile miałaś lat, kiedy zaczęłaś tu przyjeżdżać?

- Pięć, może sześć. Po śmierci pradziadka moje wizyty ustały.

- W jakim byłaś wieku, gdy umarł?

- Miałam dziesięć lat.

- Byłaś dzieckiem. Pułkownik Stratford dał ci ważne wskazówki i znalazł sposób, żeby ci je wbić do głowy. Do dziś pamiętasz jego rady, opowieści i maksymy. Takich rzeczy się nie zapomina.

- Zapisał mi hotel. Taka klauzula znalazła się w jego testamencie - myślała głośno Desiree. - Pewnie liczył na to, że gdy dorosnę, poskładam elementy układanki w jedną całość. - Umilkła, uniosła głowę i z uwagą popatrzyła na fresk. - Co ma do tego sufit?

- Nie domyślasz się, czym były legendarne „bengalskie ognie”, które twój pradziadek dostał za uratowanie życia synowi maharadży?

- Nie mam pojęcia. - Desiree wzruszyła ramionami. - W dzienniku nie ma żadnego wyjaśnienia.

- To prawda - zgodził się Mathis, wkładając mokasyny. - Z pewnością wiele się o nich mówiło, skoro przeszły do legendy.

- Ja również doszłam do takiego wniosku. Musiały być bardzo cenne.

- Podsumujmy wszystko, co wiemy: "Bengalskie ognie" to jedna z trzech nagród za uratowanie życia następcy tronu. Były sporo warte, obrosły legendą, a użyte w dzienniku określenie jest zapewne nazwą lub poetycką przenośnią.

Desiree spojrzała na Mathisa szeroko otwartymi oczyma. Gdyby jej domysły okazały się słuszne...

- Bengalskie ognie. Przed zaśnięciem pradziadek i ja liczyliśmy gwiazdy. Ciągłe mi przypominał, żebym na nie patrzyła. Wierzyć się nie chce...

- To dopiero odkrycie! - Mathis podszedł do drzwi.

- Dokąd pędzisz? - zawołała.

- Po drabinkę. Zaraz wracam!

Wkrótce stał już na ostatnim szczeblu metalowej drabiny. Desiree została na dole i obserwowała go uważnie.

- Będzie ci potrzebny nóż albo jakieś ostre narzędzie - powiedziała, rozglądając się wokoło.

- Podaj śrubokręt.

Przez chwilę uważnie obserwował fresk, a potem stuknął płaską końcówką w jedną z gwiazd w konstelacji Oriona, mitycznego łowcy. Bez rezultatu.

- Znalazłeś coś? - wypytywała Desiree.

- Jeszcze nie - odparł.

- Po prawej stronie jest znacznie większa niebieska gwiazda.

- Ta się przesuwają - zawołał, manipulując śrubokrętem.

- Popchnij ją.

Gdy zdecydowanym ruchem przesunął gwiazdkę, na dłoń spadła mu kropla błękitu. Przesunął jeszcze trzy niebieskie

gwiazdy maskujące niewielkie otwory - za każdym razem z takim samym skutkiem - i zszedł z drabiny.

- Co znalazłeś? - niecierpliwiła się Desiree.

Bez słowa otworzył dłoń, na której leżały cztery spore kamienie wielkości półdolarówki. Miały ciemnoniebieski odcień. Kurz i plamy z farby przytłumiły ich blask. Mathis oczyścił starannie jeden z nich i wypolerował, pocierając o nogawkę spodni. Uniósł klejnot i obrócił się wolno.

- Nie znam się na drogich kamieniach, ale moim zdaniem to szafir, jeden z najcenniejszych klejnotów.

- Szafiry pochodzą z Kaszmiru - powiedziała zamyślona Desiree.

- Kaszmir leży w Indiach.

Oboje spojrzeli na sufit i powiedzieli jednocześnie:

- Legendarne „bengalskie ognie”.

- Tam mogą ich być setki - zawołała oszołomiona Desiree.

Mathis objął ją ramieniem.

- Może nawet tysiące. Niebo jest pełne gwiazd.

- Niezła fortuna - dodała półgłosem Desiree.

- To prawda, droga pani Hazard - dobiegł ich z tyłu znajomy głos o charakterystycznym brytyjskim akcencie. - Ogromna fortuna. Ktoś się tu obłowi.

Mathis wymyślał sobie od głupców; zlekceważył fundamentalną przestrożę generała Sun Tzu, który twierdził, że lepszy jest przygotowany wcześniej plan niż brawurowa improwizacja.

Dał się zaskoczyć jak nowicjusz. Nie zaplanował żadnego posunięcia na wypadek spotkania z Rashidem Modi uzbrojonym w duży rewolwer wycelowany w Desiree.

- Co to ma znaczyć? - zapytała śmiało.

- Włożyłem w to przedsięwzięcie mnóstwo wysiłku, a państwo mi pomogliście doprowadzić je do szczęśliwego

końca - odparł Modi z drwiącą miną. - Przez osiem miesięcy szukałem tych klejnotów, a państwo mnie wyręczyliście.

- Wiedział pan o ich istnieniu?

- A cóż innego mogłoby mnie skłonić do pracy w podupadłym hotelu, skoro mógłbym się zatrudnić w renomowanym lokalu i zarabiać dwa razy więcej?

- Sama zadawałam sobie to pytanie.

- W takim razie jest pani znacznie mniej łatwowierna niż Charlotte Stratford, która zimą ubiegłego roku przyjęła mnie do pracy, nie sprawdzając nawet referencji.

- Jak pan się dowiedział o „bengalskich ogniach”? - wypytywała Desiree, nie okazując strachu.

Rashid Modi chętnie odpowiedział:

- Nim skończyły mi się pieniądze, studiowałem w Oksfordzie. Dzieliłem tam pokój z wysoko urodzonym Hindusem, mieszkańcem Indii. Pewnego wieczoru opowiedział mi, że jest prawnikiem maharadży.

Desiree wstrzymała oddech. Rashid Modi z uśmiechem pokiwał głową.

- Tak. Słusznie się pani domyśla. Jego antenat obdarował pułkownika Stratforda bezcennymi klejnotami. Poszedłem tym tropem, dowiedziałem się, że szafiry trafiły do Ameryki, postanowiłem je odszukać i dopiąłem swego.

- Sporo się pan natrudził. Długo to trwało,

- Ale nagroda warta jest zachodu. - Rashid Modi uniósł rewolwer. - Panie Hazard, proszę oddać żonie szafiry, wejść na drabinę i zabrać się do roboty. Wedle mojej kalkulacji powinno być tu kilkaset drogich kamieni. - Mathis nie zamierzał słuchać rozkazów, ale Modi znalazł na niego sposób. - Proszę nie próbować żadnych sztuczek. Zapewniam, że bez wahania zastrzelę pańską żonę.

- Jak pan zamierza stąd uciec z klejnotami? - spytała kpiąco Desiree. - Sądzi pan, że to się uda?

- Oczywiście.
- To zwykła kradzież.
- Nie zamierzam się spierać. Kiedy zabiorę skarb, może się pani do woli nad tym zastanawiać. Fakty są dla mnie ważniejsze niż paragrafy. Wkrótce będę właścicielem szafirów. Panie Hazard, proszę się nie ociągać. Wiem, że próbuje pan zyskać na czasie.

- Czy to pan zostawił anonimowe ostrzeżenie w gabinecie mego pradziadka? - Desiree nie dawała za wygraną.

- O czym pani mówi?

- Masz odpowiedź, kochanie - wtrącił Mathis - ale sprawa pozostaje otwarta. Coraz więcej pytań.

- Dość gadania - burknął Modi. - Do roboty! Proszę oddać żonie wszystkie znalezione szafiry. - Zwrócił się ponownie do Desiree. - Muszę je w coś włożyć. Pożycz mi pani swoją torebkę.

Spojrzała na niego z góry i odparła pogardliwie:

- A to dobre! Kolejna strata! Bardzo się na panu zawiodłam. Sądziłam, że mam do czynienia z dżentelmenem, a okazało się, że to pospolity złodziej.

- Słuszna uwaga, młoda damo. Modi, nie masz szans. Odłóż pistolet i ręce do góry - usłyszeli niski, stanowczy głos.

Rashid Modi poczuł, że jego pleców dotyka ostrze szabli, więc natychmiast spełnił polecenie.

Desiree była tak oszołomiona, że nie mogła wykrztusić słowa. Mathis odetchnął z ulgą, gdy nadeszła pomoc, bo w przeciwnym razie musiałby rzucić się na złodzieja ze śrubokrętem w dłoni, co było dość ryzykownym posunięciem. Gdyby jednak przyszło mu walczyć o życie Desiree i swoje, z pewnością nie wahałby się ani przez moment. Na szczęście obyło się bez przesadnej brawury. Mathis uśmiechnął się szeroko i powitał tajemniczego wybawcę.

- Major Bunk, jak sądzę?

ROZDZIAŁ PIĘTNASTY

- Muszę ci coś wyznać - oznajmił Mathis.

Siedział obok Desiree na kanapie w gabinecie Julesa Christiana Stratforda. Pili mocną czarną kawę.

Był ranek. Poprzednia noc obfitowała w niezwykle wydarzenia, które miały dla nich ogromne znaczenie. Z nadzieją patrzyli w przyszłość. Świeciło słońce i zapowiadał się piękny dzień.

Rashid Modi został aresztowany. Major Bunk otrzymał na stałe wygodny apartament. Zwierzył się Desiree, że gdy skończyły mu się pieniądze, wolał żyć jak szczur, niż prosić Charlotte o wsparcie. Teraz, jako wybawca nowej właścicielki hotelu Stratford, z wdzięcznością przyjął skromną rentę oraz dożywotnią gościnę. Oznajmił uroczyście, że rachunki zostały wyrównane, ale Mathis i Desiree nadal uważali się za jego dłużników. We trójkę ułożyli zgrabną historyjkę, wedle której major, wiedziony przecuciem, przybył do Chicago w samą porę, by ocalić hotel. Tu prawda splatała się z fantazją.

Panny Mays z zachwytem przyjęły jego powrót. Zapewne wszyscy goście siedzieli teraz w jadalni, a bliźniaczki raz po raz częstowały majora keksem.

Mathis odchrząknął i mówił dalej.

- Muszę przyznać, że wczoraj dałem się zaskoczyć.

- Wszyscy popełniamy błędy. - Desiree uspokajającym gestem poklepała jego dłoń.

Spojrzał na nią z ponurą miną.

- Mnie to nie dotyczy. Jestem bardzo przezorny. Desiree była zbyt wyczerpana, by mu się sprzeciwić. Mniejsza o konsekwencje. Pomyśli o tym jutro.

- Zapewniam cię, że niczego nie żałuję. Było cudownie. To najpiękniejsze przeżycie, jakiego doświadczyłam. Chętnie bym ponownie przeżyła wszystko raz jeszcze.

Zdezorientowany Mathis zamrugał powiekami.

- Przyznaję, że zapomniałem o niezbędnych środkach ostrożności. Powinienem być przygotować...

- Spokojnie. Wpadka nam nie grozi. W tym miesiącu.

- Chodzi mi o to, że nie bytem przygotowany na atak Rashida Modi. Czujność mnie zawiodła. - Desiree szeroko otworzyła oczy, a Mathis nie szczędził sobie gorzkich słów. - Marny ze mnie detektyw i jeszcze gorszy ochroniarz.

Wiedziała, co powiedzieć, by rozproszyć jego wątpliwości.

- Uważasz mnie za idiotkę? Przecież wiem, że trzymałeś śrubokręt w pogotowiu. Gdyby major Bunk się nie zjawił, sam wpakowałbyś Rashida za kratki. - Ścisnęła jego dłoń. - To bardzo szlachetnie z twojej strony, że pozwoliłeś naszemu gościowi obezwładnić tego drania. Wspaniałe zakończenie kryminalnej opowieści!

- Jest kilka wątków, które wymagają uzupełnienia - stwierdził Mathis z kpiącym uśmiechem.

- Byłam zaskoczona, kiedy się dowiedziałam, że to Cherry Pye zostawiła mi dramatyczne ostrzeżenie przebite sztyletem, bo zorientowała się, że Modi coś knuje. A potem kolejna nowina! Kto by pomyślał, że Kumpel postanowi się z nią związać!

- Mnie nie dziwi ani jedno, ani drugie. Pamiętaj, że Cherry występowała na scenie, więc ma słabość do melodramatycznych gestów. A co do Kumpla...

- Właśnie!

- Nie zapominaj, że oboje lubią słodyczne.

Desiree i Mathis zaczęli chichotać.

- Jakie to szczęście, że znaleźliśmy „bengalskie ognie”. Dzięki temu panny Mays i major Bunk nie stracą dachu nad głową, a hotel odzyska dawny splendor.

- Pradziadek byłby z ciebie dumny - powiedział Mathis, patrząc na nią z uwielbieniem.

- Teraz ja muszę ci coś wyznać. Nie wiem, jak wyjaśnić naszym bliźniaczkom, że niedługo wyjedziesz do Nowego Meksyku. Będą niepokieszone, kiedy się dowiedzą, że nie jesteśmy małżeństwem.

Mathis nagle poweselał.

- W takim razie widzę tylko jedno wyjście.

- Jakie? - Desiree miała trudności z oddychaniem.

- Musimy się pobrać.

Desiree nagle straciła pewność siebie.

- Przez wzgląd na panny Mays? To nie jest dostateczny powód.

Mathis rozparł się wygodnie na kanapie i położył ramiona na oparciu.

- Mogę wymienić co najmniej dziesięć innych przyczyn.

- Słucham uważnie. - Serce biło jej coraz mocniej.

- Kochasz mnie nad życie.

Nie potrafiła zaprzeczyć. Był jej największą miłością. Zwilżyła wyschnięte usta i zapytała cicho:

- A inne powody?

- Kocham cię do szaleństwa. - Bardzo dobry początek. - Dotąd żyłem samotnie, ale mam tego dość. Jesteś mi potrzebna. Ufam ci. Nie potrafię sobie wyobrazić życia bez ciebie. - Mathis ukląkł przed nią i zapytał: - Wyjedziesz za mnie, najdroższa?

Uszczęśliwiona Desiree miała łzy w oczach.

- Tak. Bardzo tego pragnę.

- Oboje mamy za sobą trudną noc. - Wstał i wyciągnął do niej rękę.

- To prawda, jesteśmy zmęczeni. - Ujęła jego dłoń.

- Co myślisz o drzemce? Chyba na nią zasłużyliśmy.

- Nie zasnę w ciągu dnia. - Popatrzyła na niego ze zdziwieniem.

Mathis uśmiechnął się i spojrzał na nią czule.

- Kto mówi o spaniu? Nie pozwolę ci zmrużyć oka.